Rok V. Nr. 1. Styczeń 1899.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny.

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

TREŚĆ:

WARUNKI PRENUMERATY:

	rocznie:	półrocznie:
W monarchii austr.-węgr.	8 koron,	4 korony.
„ ces. niemieckiem	8 marek,	4 marki.
„ Francyi, Szwajcaryi, Włoszech .	12 frank..	6 frank.

	rocznie:	półrocznie:
W Anglii	10 szyling.,	5 szyl.
„ Stanach Zjednocz. Ameryki półn.	2 dol. 50 c.,	1 dol.
„ królest. polskiem i ces. rosyjsk.	8 rubli,	4 ruble.

(Nr. pojedynczy 80. gr. austr. 40 ct.)

REDAKCYA i ADMINISTRACYA

Lwów ul. Koralnicka 6 (Lemberg, Austria).

Rok V. Styczeń 1899 r. Nr. 1.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Koralnicka, 6.

POLITYKA POLSKA W ZABORZE PRUSKIM.

W polityce żyjemy dotychczas i kierujemy się w działalności praktycznej frazesami, które w tej dziedzinie wywierają na nas wpływ potężny i wyłączny. Powtarzamy kłamstwa konwencyonalne, uświęcone *tacito consensu*, wygłaszamy rozmaite hasła, pozbawione nieraz treści, ale samem brzmieniem swojem działające na nas, jak formuły magiczne. Podobni jesteśmy do ludzi dzikich, którzy słowom, w pewien sposób skombinowanym, przypisują moc cudowną.

Chełpimy się chętnie, żeśmy się wyleczyli z romantyzmu politycznego. Ale ten kult frazesów, który w polityce uprawiamy, jest niebezpieczniejszy dla nas, niż fantazye romantyczne. Jest on płaszczem, pod którym się ukrywa lenistwo myśli i niedołęztwo woli. Boimy się zajrzeć prawdzie w oczy, boimy się nazywać rzeczy po imieniu, zadawalniamy się więc frazesem, który nas od wysiłku myśli i działania uwalnia.

Frazesy, mające obieg w naszem życiu politycznem, zazwyczaj miały niegdyś treść realną, były w tych warunkach, w których utworzone zostały, odpowiedniemi uogólnieniami dążeń i stosunków wówczas istniejących. Ale chociaż te dążenia i stosunki zmieniły się znacznie, a nawet nieraz przeobraziły się całkowicie, my nie szukamy dla nich formuły właściwej i powtarzamy wciąż frazesy, które je wyrażały i do tych frazesów stosujemy swoją działalność, lub, co może częściej się zdarza, usprawiedliwiamy nimi swoją bierność.

Nasze sprawy i zwłaszcza rozprawy polityczne z kilku ostatnich lat dostarczają aż nadto przykładów, stwierdzających słuszność uwag powyższych. Najwyraźniej jednak to hołdowanie frazesom zaznacza się w ocenianiu spraw zaboru pruskiego i istoty oraz zadań naszej polityki narodowej w tej dzielnicy.

Ciekawą i znamienną jest stoczona niedawno w *Kraju* i kilku pismach warszawskich polemika z powodu listu, którego autor sprobo-

wał wyjaśnić, a raczej tylko zaznaczyć kilka wybitnych rysów stosunku rządu pruskiego do ludności polskiej i położenia prawno-politycznego tejże ludności w państwie pruskiem. Przedmiotu tej polemiki poruszać nie będziemy, natomiast podkreślimy, że próba zdania sobie sprawy ze stosunków istniejących zrozumianą została jako próba ich usprawiedliwienia, ponieważ zakwestyonowała wartość kilku obiegowych frazesów politycznych. Te formuły uświęcone nam wystarczają, rewizya ich zmusiła by nas do myślenia, a może nawet do działania, zakłóciła by nasz spokój duchowy, a więc — *quieta non movere.*

Po co badać tajemnice dążeń i interesów polityki pruskiej, kiedy mamy wyraz, doskonale tę sprawę wyjaśniający. Tym wyrazem jest zaborczość, niektórzy mówią zachłanność pruska, lub — dla odmiany — niemiecka w ogóle. Zaborczość pruska, zwłaszcza z dodatkiem kilku aforyzmów: »siła przed prawem« »krwią i żelazem« i t. d. zaspakaja zupełnie naszą skromną potrzebę rozumienia zjawisk politycznych. Jest to wyraz cudowny, formuła uniwersalna, bo wszystkie odcienia myśli politycznej, wszystkie stronnictwa posługują się nią chętnie, wszystkim mniej lub więcej wystarcza.

W samej rzeczy jednak ten wyraz, z dodatkiem aforyzmów lub bez nich, niczego właściwie nie tłómaczy. Każda polityka — czy pruska czy polska — w stosunku do innych narodowości jest zaborczą, zawsze dążyć musi do zdobywania nowych terytoryów lub odzyskiwania utraconych. Nie jest więc zaborczość szczególną właściwością polityki pruskiej, ani tymbardziej, jak niektórzy mówią, chwilowym obłędem narodu niemieckiego. Zaznaczanie zaborczości nie jest ani tłomaczeniem, ani nawet określeniem właściwem dążeń i charakteru polityki pruskiej, a już po prostu szkodliwem dla nas samych złudzeniem jest mniemanie, że dzisiejszy tej polityki kierunek jest objawem przemijającym. Tu przecie nie o to chodzi, jak można nazwać politykę pruską, ale jakie interesy jej podstawę stanowią i do jakich celów zmierzać musi.

Utrzymanie pod swoją władzą prowincyi wschodnich, w których mieszka ludność polska, jest dla państwa pruskiego interesem największej wagi, jest dla niego po prostu kwestyą bytu. Państwo potężne nie może pogodzić się z ewentualnością, chociażby odsuniętą w daleką przyszłość, utraty dużego terytoryum z ludnością mniej więcej 7 milionów głów, w tej liczbie z górą 3 milionów Niemców, terytoryum, w znacznej części oddawna posiadanego i już zupełnie zniemczonego. Dopóki kwestya polska istniała tylko w granicach Poznańskiego i chociażby nawet Prus Zachodnich i dopóki nie rozumiano dostatecznie konieczności jednoczenia i zaokrąglania terytoryów ze względów militarnych i ekonomicznych, mógł rząd pruski myśleć o kompromisach, nawet takich,

których podstawą byłoby zrzeczenie się części ziem polskich w zamian za odpowiednie wynagrodzenie terytoryalne lub inne korzyści. Z chwilą jednak, gdy ruch narodowy polski objął masy ludowe i rozszerzył się na prowincye, zdawało się oddawna zniemczone, gdy świadomość narodowa budzić się zaczęła wzdłuż i wszerz całej linii od Mysłowic do Pucka, polityka pruska musiała wytknąć sobie dwa cele: zniemczenie za wszelką cenę ludności polskiej w granicach Prus i przeciwdziałanie utworzeniu samodzielnego państwa polskiego i wogóle uregulowania stosunku Polaków do Rosyi.

Okazało się, że ludność polska mnoży się szybciej niż niemiecka i że nietylko siła liczebna ludu polskiego rośnie, ale i jego siła kulturalno-polityczna i ekonomiczna. Żywioł polski jest dziś pod każdym względem silniejszym w Prusiech, niż był przed 30, a tymbardziej przed 50 laty, nietylko bowiem powstrzymał postępy niemczyzny na kresach wschodnich, ale odzyskiwać zaczął stracone posterunki, zdobywać całe terytorya, jak Górny Ślązk i Mazowsze pruskie, a nawet wystąpił zaczepnie w dziedzinie stosunków ekonomicznych, tworząc silne kolonie robotnicze polskie w stolicy Prus i w Niemczech.

Politycy pruscy widzą, że proces germanizacyi kresów wschodnich, osławiony *Drang nach Osten* ustał zupełnie. Żywioł polski rośnie w siłę. Fakt ten nie jest pożądanym dla państwa, dążącego w stosunkach wewnętrznych do jednolitości narodowej, może jednak pogodziłoby się z tą przykrą koniecznością, gdyby nie wzgląd na stosunki zewnętrzne. Chociaż ci politycy są bardziej trzeźwi, niż najtrzeźwiejsi z naszych, pomimo to, a raczej dla tego właśnie liczą się z możliwością podniesienia kwestyi polskiej w polityce międzynarodowej. Bismark sprzeciwiał się stanowczo wojnie z Rosyą, bo rozumiał doskonale, że prawdopodobnym tej wojny rezultatem musiałoby być utworzenie samodzielnego lub autonomicznego państwa polskiego. A państwo polskie dążyłoby niewątpliwie nietylko do odzyskania ziem, które Prusy zagrabiły, ale i do opanowania całego obszaru prowincyi wschodnich tej monarchii, a więc nietylko Poznańskiego i Prus Zachodnich, ale i Prus Wschodnich i Ślązka. Zresztą, nie przewidując nawet tej ewentualności, polityka pruska widzi we wzroście żywiołu polskiego poważne dla państwa niebezpieczeństwo na wypadek możliwego zatargu Niemiec z Rosyą, lub nawet z Rosyą i Austryą.

Zadaniem więc jej było i jest odroczenie tej możliwości i skorzystanie z czasu dla obezwładnienia groźnego dla państwa żywiołu polskiego. Wzrost tego żywiołu przekonał rząd niemiecki, że stosowane dawniej środki i sposoby germanizacyi kresów wschodnich nie osiągają celu. Przenikliwsi politycy rozumieją, zdaje się, że i nowe zarządzenia

i środki, energicznie w ciągu ostatnich lat stosowane, do celu zamierzonego nie doprowadzą. Ale polityka pruska wobec ludności polskiej znalazła się w położeniu bez wyjścia. Ustępstwami dla żywiołu polskiego nie może zabezpieczyć sobie posiadania prowincyi wschodnich, bo gdyby nawet zjednała sobie miejscową ludność polską, nie powstrzymała by naturalnego dążenia naszej polityki narodowej do zjednoczenia wszystkich dzielnic. Może Austrya jednać sobie Polaków, bo ona, jak trafnie zauważył w swych pamiętnikach Bismark, chętnie zrzekła by się Galicyi za odpowiednie wynagrodzenie terytoryalne. Ale Prusy, ani nawet rzesza niemiecka nie mogą zrzec się dobrowolnie prowincyi wschodnich, nietylko ze względu na 3 miliony zamieszkujących tam Niemców, ale bardziej jeszcze ze względu na ich położenie terytoryalne. Strata tych obszarów byłaby ciosem śmiertelnym dla potęgi niemieckiej.

Wspomnieliśmy już, że politycy niemieccy sami zapewne nie bardzo wierzą w skuteczność stosowanych względem ludności polskiej środków. Polityka antypolska Bismarka, zwłaszcza zaś polityka dzisiejsza rządu pruskiego jest po prostu rozpaczliwym wysiłkiem i właśnie przeświadczenie o marności wprowadzonych w życie lub zamierzonych zarządzeń nadaje jej szczególną zawziętość. Rząd pruski wybrał ten system działania, który odpowiada tradycyom państwowym i charakterowi narodowemu, który pozwala przynajmniej łudzić się nadzieją zgnębienia żywiołu polskiego i powstrzymuje rzeczywiście jego rozwój kulturalny i ekonomiczny. To powstrzymanie, a raczej utrudnianie naszogo rozwoju narodowego jest jedyną zdobyczą pozytywną polityki pruskiej. Żaden inny system postępowania nie dałby jej nawet takiego skromnego rezultatu.

Probowała ona zresztą dróg innych. Bismark w swoich zwierzeniach poufnych wyznaje, że przychodziła mu nawet do głowy myśl wskrzeszenia projektu dawnych władzców brandenburskich — unii prusko-polskiej. Ten fantastyczny pomysł nie miał jednak i nie ma w stosunkach dzisiejszych żadnych widoków. Ale tylko pomiędzy nim a systemem bezwzględnej germanizacyi wybierać może polityka pruska, bo żadna inna taktyka działania nie odpowiada jej interesom. Zarówno próby polityki ugodowej, jak próby kompromisu z dążeniami narodowemi polskiemi na podstawie zrzeczenia się ziem, do Prus należących, zawiodły. Dziesięć lat temu, gdy wojna z Rosyą zdawała się nieuniknioną, w organie pułurzędowym niemieckim zjawił się sfabrykowany z polecenia kanclerza rzeszy list rzekomego szlachcica polskiego. W liście tym i w artykułach, z powodu niego napisanych, wzywano Polaków do uroczystego zrzeczenia się pretensyi do ziem, przez Prusy zagrabionych i w zamian za to obiecywano utworzenie wielkiego państwa polskiego, któreby sięgało aż do Morza Czarnego. Rzecz ciekawa i znamienna, że

patryarcha socyalistów niemieckich niedawno zmarły Engels w rozmowie z pewnym Polakiem twierdził również, że musimy wyrzec się myśli odzyskania kiedykolwiek Prus Zachodnich i Wschodnich i obiecywał przyszłej Polsce — Odessę i Libawę, a nawet Rygę.

Jeżeli polityka realna liczyła się choć przez chwilę z tego rodzaju projektami, bardziej niemożliwymi do wykonania, niż projekt unii polsko-pruskiej, to widocznie w Berlinie jasno zdawano sobie sprawę ze stanu rzeczy i oceniono należycie wzrost siły narodowej polskiej. Ma się rozumieć, rychło porzucono podobne fantazye, z któremi w pewnym może związku stała próba akcyi ugodowej w zaborze pruskim. Zachowanie się społeczeństwa polskiego, zwłaszcza żywiołów ludowych wobec tej akcyi przekonało rząd pruski, że pozorny nawet kompromis pomiędzy zasadniczo sprzecznymi interesami i dążeniami naszymi i jego jest niemożliwy. Od tej właśnie chwili zadania polityki pruskiej w stosunku do ludności polskiej występują coraz wyraźniej, system germanizacyi bezwzględnej stosowany jest coraz ostrzej. Do pomocy powołuje rząd opinię publiczną niemiecką i, nie szczędząc kosztów, nie zważając na prawo, łamiąc je nawet nieraz, stosuje środki dawniej już używane i wymyśla coraz to nowe.

Nie można się łudzić przypuszczeniem, że te środki już rząd pruski wyczerpał lub rychło wyczerpie, że w działaniu nie przekroczy pewnej linii, którą zakreślają konstytucya i ustawy ogólne. Dziś już są prawa wyjątkowe i bezprawia powszednie, bo w zwyczaj weszły. Wszystkie te represye mogą być i prawdopodobnie będą wzmocnione.

Nie trzeba się również łudzić, że opinia publiczna niemiecka zaprotestuje przeciw samowoli i bezwzględności pruskiej. Dla Niemiec niedawno jeszcze sprawa polska miała inne znaczenie, niż dla Prus. Ale pomimo pozornego wzrostu separatyzmu, proces zjednoczenia coraz bardziej postępuje i interesy państwowe i narodowe Prus i Niemiec coraz ściślej się zespalają. Nietylko dla Prus, ale dla całego zjednoczonego państwa niemieckiego sprawa polska ma taki charakter, jaki wyżej zaznaczyliśmy. Polityka, której kwintesencyą jest program hakatystów, ma gorliwych zwolenników i w Saksonii, i w Bawaryi i nad Renem. Nie jest to już dziś polityka jednego stronnictwa lub jednej koteryi. Istotnym jej celom i zadaniom współczują i wolnomyślni i katolicy niemieccy, różnica na tem tylko polega, że zalecają inne środki germanizacyi. Hakatyzm katolicki jest dziś dla nas bodaj groźniejszy, niż hakatyzm junkierski. Nawet w stronnictwie socyalno-demokratycznem dosyć wyraźnie występować zaczynają dążenia germanizacyjne.

Nie z Prusami więc tylko, ale z Niemcami całemi, nie ze stronnictwami poszczególnemi ale z całem społeczeństwem niemieckiem

toczyć musimy walkę, w której strona mocniejsza w środkach nie przebiera, a słabsza jest skrępowaną w swej działalności nawet legalnej, walkę zaciętą, na śmierć i życie. Najżywotniejsze interesy obu narodów wchodzą w niej w grę — toczy się ona o naszą przyszłość narodową i przyszłość potęgi niemieckiej.

Nie uświadamiamy sobie należycie wielkiego znaczenia tej walki dla obu stron, ani jej istotnego charakteru, gdybyśmy to bowiem rozumieli, wstydzilibyśmy się wygłaszania oklepanych ogólników o zaborczości niemieckiej i naszej wierze w przyszłe zwycięztwo zasad ludzkości i sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych. Nie żywilibyśmy również nadziei że w społeczeństwie niemieckiem, a pod naciskiem jego w rządzie wezmą górę inne poglądy na stosunek państwa do Polaków. Zapewne możliwą jest, a nawet prawdopodobną zmiana taktyki działania, ale istota polityki prusko-niemieckiej nie zmieni się bynajmniej. Niemcy nie mogą pogodzić się z myślą utraty chociażby w dalekiej przyszłości wschodnich obszarów monarchii pruskiej z kilku milionami ludności niemieckiej, a ponieważ rozumieją, że pozostawienie rozstrzygnięcia tej sprawy naturalnemu rozwojowi stosunków dałoby w przyszłości zwycięztwo żywiołowi polskiemu, więc wszelkimi środkami, *per fas et nefas* dążyć muszą do osłabienia tego żywiołu lub przynajmniej utrzymania pewnej równowagi narodowej.

Z tego punktu widzenia rozpatrywana polityka niemiecka jest istotnie obronną, chociaż używa środków zaczepnych. Nic to nie zmienia, że ów *Besitzstand*, którego broni, powstał drogą przeniewierstwa i grabieży. Niemczyzna nie jest na kresach wschodnich uciskaną, jak głoszą hakatyści, ale jest w tem, co prawem przywłaszczenia posiada, zagrożoną. Ten charakter obronny polityki niemieckiej tym chętniej stwierdzić możemy, że zarówno w polityce, jak w walce orężnej ten, kto się broni, zwykle przegrywa.

Istotę i charakter polityki pruskiej powinniśmy uświadomić sobie dokładnie, w całej ich nagości realnej, i ocenić bez złudzeń i bez wyrzekań pesymistycznych. Ta polityka dąży i dążyć będzie do zagłady narodowej żywiołu naszego, ale w warunkach istniejących zadania swego spełnić nie może, porzestawać więc musi na tamowaniu naszego rozwoju politycznego, umysłowego i ekonomicznego, na utrzymaniu równowagi i dotychczasowego stanu posiadania, któremu rozwój nasz zagraża. Jesteśmy siłą, która rośnie i która stanowi niebezpieczeństwo istotne dla potęgi państwa niemieckiego, jeżeli nie dziś to w przyszłości.

Ale na czterdzieści kilka milionów Niemców, władających wszystkimi środkami potęgi państwowej i kultury materyalnej jest nas w zaborze pruskim niespełna 4 miliony ludności ubogiej i w znacznej części

nie uświadomionej narodowo i politycznie. Ten fakt przedewszystkiem decyduje o naszej taktyce politycznej w stosunku do rządu pruskiego i Niemiec. Musimy unikać takich sposobów walki, w których zwycięztwo zapewnia przewaga liczebna i organizacya państwowa, musimy więc działać dla naszej sprawy narodowej na gruncie legalnym, w ramach konstytucyi pruskiej i niemieckiej, dopóki to jest możliwem. Te warunki działania moglibyśmy lepiej wyzyskiwać niż dotychczas, gdybyśmy jaśniej zdawali sobie sprawę z zadań i dążeń polityki pruskiej — i naszej. Wtedy i kompromisy — czasowe i rzeczowe — ze stronnictwami niemieckiemi zapewniać by nam mogły w poszczególnych wypadkach korzyści praktyczne. Bo jušci życia politycznego narodu niemieckiego nie wypełnia całkowicie dążenie do germanizacyi kresów wschodnich, ma ono też inne dążenia i zadania, inne interesy nie mniej ważne. Pamiętać tylko trzeba, że na zmianę zasadniczą stosunku państwa i narodu niemieckiego liczyć nam nie wolno, że zapomnienie o tej nieubłaganej konieczności, którą polityka pruska wyraża, naraża nas na szkody i straty często niepowetowane.

Nie możemy spodziewać się zmiany polityki pruskiej w zakresie czasu, dostępnym przewidywaniom ludzkim. Nadzieja tryumfu w polityce zasad sprawiedliwości i ludzkości jest, według przysłowia, matką głupich, w najlepszym razie — matką naiwnych. Wierzyć w ten tryumf powinniśmy, ale też powinniśmy rozumieć, że nie spadnie on z nieba, nie wyskoczy z głów i serc ludzkich, ale musi być dokonany krwią i żelazem. Wygłaszanie zaś frazesów o tym tryumfie, bez określania na czem on polega, jest szkodliwem bałamuctwem, usprawiedliwiającem bierność i niedołęztwo polityczne.

Na oczekiwaniu zmiany pojęć i stosunków, ani nawet na wyzyskiwaniu politycznem dla naszej sprawy narodowej warunków istniejących poprzestawać nie możemy. Zachowanie równowagi narodowej w zaborze pruskim byłoby powstrzymaniem naszego rozwoju, bo wszystko, co rozwija się, musi rosnąć. Musi więc nasza działalność polityczna wytwarzać warunki nietylko zabezpieczające ale i przyspieszające rozrost żywiołu polskiego.

A ta walka, która się toczy na naszych kresach zachodnich nie jest sprawą jednej dzielnicy, lecz sprawą żywotną całego narodu. »Głupia Polska bez Poznania« mówi przysłowie, które utworzyli ojcowie nasi po rozbiorze kraju na kongresie wiedeńskim. Tak, marną byłaby ta przyszła Polska, dla której żyjemy i działamy, ta Polska której nie doczekamy się zapewne, ale którą ogladać będą dzieci i wnuki nasze — nietylko bez Poznania, ale i bez Ślązka, bez dostępu do morza, a więc bez Gdańska i Królewca. Te prowincye, które dziś do Prus należą, są

koniecznym warunkiem istnienia państwa polskiego, jak dziś są warunkiem utrzymania potęgi prusko-niemieckiej. Dla nas tymbardziej nie może być w tej sprawie kompromisu.

Nie należy powtarzać tego przy lada sposobności, z przechwałką, charakterowi naszemu właściwą, ale zawsze i mocno pamiętać trzeba, że bez tych ziem Polska nie może istnieć, że choćby w innych granicach powstała, do opanowania tych ziem dążyć musi. Niemcy już to rozumieją — my nie wszyscy jeszcze.

Skoro zaś posiadanie tego terytoryum jest naszym najżywotniejszym interesem narodowym, niezbędnym warunkiem naszego narodowego bytu — walka, która się tam toczy, powinna być sprawą, obchodzącą równie żywo wszystkie dzielnice. Nietylko współczucie przyrodzone, nietylko świadomość jedności narodowej, ale interes polityczny najbardziej realny nakazują nam zwrócić szczególną uwagę na kresy zachodnie. W walce czysto-politycznej pomoc z naszej strony, zwłaszcza jawnie okazywana, w większości wypadków zaszkodziła by tylko ludności polskiej w zaborze pruskim. Ale w działalności, mającej na celu wytwarzanie warunków rozwoju narodowego, duchowego i ekonomicznego, moglibyśmy i powinniśmy czynnie im pomagać. Tymczasem z zamiłowaniem szperaczy zajmujemy się dosyć gorliwie rozmaitymi odłamkami naszego narodu, przedstawiającymi przeważnie tylko wartość etnograficzną, a zapominamy o tej wielkiej połaci kraju, gdzie leży kolebka naszego państwa i bez której to państwo nie miałoby w przyszłości niezbędnych warunków bytu.

Z OBYCZAJÓW ŻYCIA POLITYCZNEGO.

Na pierwszym wiecu, zwołanym w Krakowie przez stronnictwo socyalno-demokratyczne zaraz po zniesieniu stanu wyjątkowego, a poraz drugi na VI zjeździe stronnictwa, poseł Daszyński wypowiedział się za zbiorową akcyą polityczną wszystkich opozycyjnych stronnictw Galicyi, celem przeprowadzenia punktów wspólnych lub przynajmniej łącznego postawienia ich na porządku dziennym.

Nic słuszniejszego nad taki program działania. W trybie normalnym życia politycznego wszystkie żywioły, dążące do zniesienia przeżytej ustawy lub do wprowadzenia nowej, przedsiębiorą zazwyczaj wspólną agitacyę na rzecz swego zgodnego dążenia. Wspólność akcyi jest wyższym stopniem solidarnego działania, niż wspólność agitacyi, gdyż ta ostatnia może się sprowadzać do równoległych poprostu wystąpień różnych stronnictw, przy jakiej takiej tylko koordynacyi ruchów,

podczas kiedy pierwsza jest niejako utworzeniem jednego czasowego stronnictwa, dążącego do osiągnięcia bezpośredniego i wyraźnego celu — pozatem zaś łączące się stronnictwa zachowują zupełną swobodę postępowania. Siła tej ostatniej formy działania jest bezwątpienia większą, a rezultaty jej pewniejsze, usuwa ona bowiem czasowo na bok wszystkie rozbieżne czynniki partyjne, komplikujące niesłychanie każdą kwestyę, i, co ważniejsza, wciąga do akcyi żywioły poza stronnictwami stojące, (a imię ich — legion), gdyż pozwala im występować za daną reformą, nie stając przez to pod żadnym partyjnym sztandarem.

Tak postępują stronnictwa w krajach o wysokiej kulturze politycznej i dochodzą do znakomitych i szybkich rezultatów. W Anglii lub Ameryce zawiązują się nadto zwykle specyalne stowarzyszenia, ligi lub związki, złożone z ludzi wszelkich stronnictw, a popierane przez wszystkich, którzy się z ich celami solidaryzują.

W Galicyi pojęcie o właściwej, masowej akcyi politycznej prawie nie istnieje, wszystko się robi nawet nie stronnictwami, ale koteryami. »Wpływy parlamentarne« uważane są w sferach miarodajnych za czynnik nietylko normalny, ale jedynie godny uwagi, podczas kiedy jawny, głośny i publiczny ruch opinii traktuje się pogardliwie mianem »agitacyi«, a do tej nazwy przywiązane jest pojęcie o czemś niepoważnem, bezcelowem, a nawet zdrożnem. Każdemu, pojmującemu i ceniącemu prawa i swobody obywatelskie, nasuwa się pytanie: czy Austrya jest rzeczywiście państwem konstytucyjnem i parlamentarnem? Jeżeli tak, to państwo konstytucyjne i parlamentarne innych »wpływów« znać nie może i nie powinno nad wpływ opinii wyborców, której posłowie są tylko wyrazicielami.

Wobec tak pierwotnych, nienormalnych i opacznych stosunków życia publicznego Galicyi, tem baczniejszą zwracać należy uwagę na wyrabiające się powoli obyczaje akcyi politycznej i poddawać bezstronnej, rzeczowej krytyce to wszystko, co tę akcyę utrudnia, paczy lub ubezwładnia.

Poseł Daszyński w obu swych wystąpieniach uznał, niewiadomo dlaczego, za stosowne zaznaczyć, że w tym połączonym ruchu stronnictw opozycyjnych partya socyalno-demokratyczna »trzymać będzie pierwsze skrzypce«. Gdyby ta partya składała się z ludzi politycznie dojrzałych, musiałaby uznać słowa swego przewódcy za niezręczny lapsus, za odezwanie się wysoce niepolityczne, pozwalające tylko innym stronnictwom twierdzić z pewną racyą, że autor podobnego oświadczenia nie ma właśnie dostatecznych kwalifikacyi do trzymania pierwszych skrzypiec. Kto pragnie odegrać podobną rolę i ma siły moralne po temu, ten o tem nie mówi, ale robi, co potrzeba, aby siłą faktów, siłą uzys-

kanych korzyści i osiągniętych rezultatów przodownictwo przypadło jego stronnictwu w udziale. Nie ten trzyma pierwsze skrzypce, kto najgłośniej gra, ale ten, co najwięcej się przyczynia do harmonijnego wykonania całości, a zostanie do tego powołany dzięki złożonym dowodom umiejętności w wykonaniu swej roli. Przodownictwo jest faktem, który się stwierdza *a posteriori*, nie zaś samozwańczą godnością honorową, narzuconą innym, kosztem już nawet nie ich ambicyi, ale słusznych wymagań równości pomiędzy tymi, którzy do wspólnej przystępują pracy.

Jeden już ton tych »pierwszych skrzypiec« odezwał się właśnie w Krakowie i odezwał sie sam, bez wtóru, z wymuszonym tylko oddźwiękiem. Szło o zniesienie stempla dziennikarskiego i o prawo kolporterki. Na tym punkcie nietylko stronnictwa opozycyjne, lecz cała masa wyborców niezdecydowanej barwy gotowa byłaby podpisać obu rękami wniosek nagły, nie dopuszczający żadnego »ale«. Znakomite pole dla akcyi politycznej, ważnej już z tego choćby względu, że, pomimo wszelkich orzeczeń parlamentu, Wiedeń tylko pod naciskiem opinii zgodzi się na krok stanowczy, boć na »wpływy« liczyć tu nie można. Jakże tę akcyę poprowadziły pierwsze skrzypce stronnictwa socyalno-demokratycznego?

Zwołany został w Krakowie wiec partyjny, na który »zaproszono« miejscowych posłów opozycyjnych. Przybył jeden tylko poseł Rotter i w paru słowach zaznaczył, że się nie solidaryzuje z programem stronnictwa socyalno demokratycznego, popierał natomiast zawsze cel, dla którego się zebrano. Poseł Wójcik usprawiedliwił swą nieobecność, poseł Sokołowski posłał podobno list, w którym wyraża to samo, co powiedział poseł Rotter, inni się nie zjawili. Z góry przewidzieć można, że stronnictwo socyalno-demokratyczne weźmie ztąd asumpt do krytyki tej mniej więcej treści: »A co, czy nie mówiliśmy, że my jedni protestujemy przeciwko stemplowi dziennikarskiemu, inne stronnictwa, jeżeli nawet pragną jego zniesienia, to nie mają dość odwagi czy bezstronności aby w imię publicznego dobra i wspólnego celu stanąć w jednych z nami szeregach«.

Wobec panujących w Krakowie stosunków, trzeba rzeczywiście pewnej odwagi cywilnej, jakiej złożył dowód poseł Rotter, aby przemawiać na partyjnym wiecu socyalistycznym. Tam, gdzie antagonizmy stronnicze dochodzą do absurdu, tam, gdzie jedni radziby wprost wyjąć drugich z pod praw obywatelskich, gdzie tolerancya przekonań jest rzeczą nieznaną, tam najprostszy akt niezależności postępowania naraża na przykrości i insynuacye. Ale nie o to bynajmniej chodzi w tej kwestyi.

Nasuwa się pytanie, czy poseł pewnego stronnictwa ma obowiązek wziąć udział w wiecu innego stronnictwa, (jak w danym wypadku, występującego wrogo wobec pierwszego), w imię »publicznego dobra i wspólnego celu«? — Stanowczo nie ma i w żadnym kraju o normalnie rozwiniętem życiu politycznem zwyczaj podobny się nie praktykuje.

Nawoływania w imię publicznego dobra i wspólnego celu trzeba zawsze najprzód zwrócić do siebie. Kto szczerze pragnie działać w imię tych haseł, ten stara się wciągnąć do akcyi jaknajszersze koła, a więc przedewszystkiem nie urządza wiecu pod firmą partyjną, jeżeli chce, aby przedstawiciele innych stronnictw wzięli w nim udział.

Normalny sposób postępowania jest tak utarty i tak łatwy, że trzeba wielkiego powikłania stosunków obok wielkiego zagmatwania pojęć, aby z taką trudnością mógł wejść w obyczaje życia politycznego. Stronnictwo, któremu dana kwestya najbardziej na sercu leży, daje zwykle inicyatywę i porozumiewa się poufnie z przedstawicielami innych stronnictw i kół, dążących do tej samej reformy. Tworzy się mieszany komitet i ten wydaje odezwy, broszury, zwołuje wiece, słowem prowadzi agitacyę, podpisując afisze całym szeregiem nazwisk ludzi bardziej znanych i popularnych, niezależnie od partyi, do której należą. Zwykle w takich razach zaprasza się do współdziałania osoby, poza stronnictwami stojące, oddane jednak zamierzonej reformie. Wiece w ten sposób zwołane nie noszą żadnej cechy partyjnej, a przemówienia oświetlają kwestyę rzeczowo i wszechstronnie, już wskutek samej rozmaitości punktów widzenia.

Zbytecznem byłoby dodawać, że tworzące się w ten sposób przez czas dłuższy coraz nowe kombinacye ludzi różnych odcieni wpływają silnie na wyrobienie tolerancyi, zacierają zbyt krańcowe przeciwieństwa partyjne i przyuczają ogół do wspólnego działania. Agitacya staje się wtedy rzeczową, popularyzuje śród szerokich mas gruntowną znajomość przedmiotu, zamiast poddawać im gotowe hasła i przyczynia się przez to potężnie do politycznego ich wyrobienia.

Pierwsze skrzypce trzymają wtedy ci, co największe zasługi położą w przeprowadzeniu reformy, a uznanie, jeżeli im o nie chodzi, nie minie ich ani w opinii ogółu ani w historyi. Zasług tych jednak lepiej nie eskontować z góry, jeżeli się rzeczywiście i szczerze pragnie robić z innymi, a więc obok innych. Zapraszanie przedstawicieli innych obozów na wiec, urządzony pod wezwaniem jednego stronnictwa, nie jest akcyą polityczną, ale agitacyą na rzecz własnej firmy. Nie każdy posiada dość abnegacyi za siebie i swoje stronnictwo, aby się poddał tej grze, w której występuje w roli narzędzia do podwójnego użytku: do

popierania celu, któremu chce rzeczywiście służyć, a zarazem stronnictwa, któremu służyć bynajmniej nie pragnie.

Zakorzenił się w Galicyi inny jeszcze obyczaj w występach politycznych, dotyczący nie wspólnej akcyi, ale walk pomiędzy stronnictwami, a więc przedewszystkiem walk wyborczych. Jeżeli tamten utrudnia postęp, ten cofa się wstecz i prowadzi do pewnego rodzaju zdziczenia w obyczajach życia publicznego. Dzieje się często tak: pewne stronnictwo zwołuje wiec przedwyborczy; spieszą nań zwolennicy kandydata, ale przedewszystkiem przeciwnicy, i nie po to bynajmniej, aby się zapoznać bezpośrednio z programem i argumentami przeciwników, ale żeby im utrudnić obrady przerywaniem i wykrzyknikami, zdyskredytować kandydata, a jeżeli się da, to i zerwać wiec przy pomocy burd i hałasów. Taktyka — godna rzeczypospolitych murzyńskich!

W krajach politycznie cywilizowanych wyłącznymi panami zgromadzenia są ci, którzy je zwołali, są jego gospodarzami i chwilowymi właścicielami sali obrad; przedstawiciele obcych stronnictw są tylko gośćmi, nietylko więc nie przystoi im przeszkadzać w obradach, jeżeli nie chcą zdyskredytować zupełnie własnego stronnictwa, ale wprost nie jest przyjęte nawet jakiekolwiek wyrażanie niezadowolenia z ich strony. Na własnym wiecu, w którym im również nikt przeszkadzać nie będzie, mają szerokie pole do krytyki programu i argumentów swoich przeciwników.

Gdyby nawet czynny udział przedstawicieli innych obozów miał się ograniczyć do dyskusyi z kandydatem, (niema żadnej zresztą w praktyce granicy pomiędzy jednem i drugiem), to dyskusya taka do niczego doprowadzić nie może pomiędzy ludźmi, nie mającymi nic albo bardzo mało ze sobą wspólnego, i musi się wyrodzić w proste dążenie do zdyskredytowania przeciwnika.

Jeżeli obyczaje polityczne, które się tak silnie zaznaczyły przy ostatnich wyborach, nie zmienią się pod tym względem na lepsze, to prawo wyborcze, ta szkoła obywatelskiego wykształcenia, będzie zarazem szkołą nietolerancyi, krzykactwa, burd i zdziczenia. Życzymy szczerze p. Daszyńskiemu aby na polu reformy tego rodzaju obyczajów wziął pierwsze skrzypce do ręki.

B. O.

MURAWJEW „WIESZATIEL“ I POMNIK JEGO W WILNIE

GŁOS Z LITWY.

I.

Z wiosną r. 1863 w Petersburgu ustaliło się przeświadczenie, że trzeba coś postanowić wobec coraz silniej wzmagającego się powstania narodowego w Królestwie Polskiem, na Litwie i Białorusi, jak niemniej wobec jednobrzmiących not w tej sprawie państw Zachodniej Europy. Trudność położenia polegała na tem, że ogólny stan armii rosyjskiej był wtedy niezaprzeczenie bardzo smutny i o natychmiastowem przyjęciu wojny z Anglią lub Francyą np. nie mogło być nawet mowy. A obok tego wówczas nawet najbardziej krótkowidzący satrapi odczuwali ogólne drgania liberalne w wykształceńszej cząstce społeczeństwa rosyjskiego, drgania, które tu i ówdzie zaznaczały się żądaniem konstytucyi, a więc nieodłącznem współczuciem dla wszystkiego, co podlegało uciskowi. Nie ulega wątpliwości, że pierwsze wystąpienia polskie znalazły dość szerokie, lubo skryte i milczące uznanie ze strony tego odłamu postępowego Rosyan.

Uwłaszczenie włościan, już od dwóch lat zapowiedziane i tylko w części dokonane, dzięki ohydnym wykonawcom stworzyło cały szereg buntów śród włościan i ogrom niezadowolenia śród szlachty.

Petersburg, zrazu przygotowany do poważnych ustępstw dla Polaków i Litwinów, znagła pchnięty wolą cara-samodzierżcy postanowił rzucić wszystko na kartę dla obrony przywłaszczonych i tak niezbędnych dla państwa rosyjskiego ziem, tych wrót do Zachodu, tego przedsionka fal cywilizacyjnych.

Wkrótce zmoskwiczały Niemiec, Berg, otrzymał stanowisko namiestnika w Królestwie Polskiem i chodziło już tylko o generał-gubernatorstwo wileńskie, bo kijowskie również znalazło pogromcę w osobie Bezaka. A owo stanowisko zajmował Nazimow, tak dobry Moskal, jak wielu innych, lecz człowiek nie pozbawiony pewnych zasad moralnych i mający tytuł do jakiej takiej kultury. Nazwano go »polakofilem«, uczyniono kozłem ofiarnym carskiego niezadowolenia i postanowiono odwołać.

Tak, lecz któż miał jechać na ten posterunek »przez pół stracony«, jak przypuszczano, skoro trudno było dać temu komuś jakieś dokładne wskazówki postępowania, skoro ten ktoś musiał wziąć na siebie odrazu rolę kata i ciemiężcy, a ewentualnie i całą hańbę w skutkach takich lub owakich?

I oto na polecenie ministra dóbr państwa Zielonoj'a wybór carski padł na Michała hr. Murawjewa.

Kto był Murawjew? Jak szeroko i licznie rozbrzmiewa słowo polskie i ogólnie ludzka szlachetność i poczucie godności człowieczej, nie masz tam nigdzie dwóch zdań o nim: był to zwierz z temperametu i charakteru, był dziki i potworny okrutnik, jako mąż stanu, jako zwierzchnik i administrator, był to wreszcie najdoskonalszy typ płaszczącego się aż do zapoznania ludzkiej godności moskiewskiego urzędnika, który łaknie carskiej łaski i osobistych, a nieodłącznych od niej korzyści. Mamy nawet prawo przypuszczać, że hr. Murawjew marzył o sławie, bodaj kosztem zaparcia się w sobie wszystkiego ludzkiego.

Nie o to nam jednak głównie chodzi, lubo wyznajemy, że uroczystość odsłonięcia pomika dnia 8 listopada st. st. w Wilnie znagla nas do takiego sformułowania sądu o tym wyrodku ludzkości. Sprobujmy przeto stanąć na gruncie przedmiotowego badania i rozejrzyjmy się w świadectwach i źródłach, zaczerpniętych wprost ze społeczeństwa rosyjskiego i jego literatury nawet cenzuralnej.

Otóż wszystkie źródła takie zgadzają się na to, że Murawjew w chwili, gdy otrzymał stanowisko wileńskiego generał-gubernatora, był już od lat kilku zgoła usunięty od służby państwowej i zupełnie zapomniany. Każdy, choć trochę obeznany ze zwyczajami rządu moskiewskiego, dojrzy w tym fakcie prawdę niewątpliwą, że tenże Murawjew uległ takiemu losowi li tylko dzięki wyjątkowym zarzutom, jakie ściągnął na siebie. Jakoż był wyjątkowym złodziejem, barbarzyńcą i nikczemnikiem.

W r. 1826, zamieszany do spisku »dekrabrystów« wraz z czterema innymi Murawjewami, ocala się zdradą współtowarzyszów i ta okoliczność daje mu pochop później do cynicznej przechwałki: »Jam nie z tych, których wieszają, lecz z tych, którzy wieszają«. Temu powiedzeniu zawdzięcza on bardzo popularny przydomek »*Wieszatiela*« dany mu nie przez Polaków, lecz przez samych Rosyan, jeszcze na kilkanaście lat przed powstaniem r. 63.

Po r. 1826 i nikczemnej zdradzie Murawjew szybko posuwa się w służbowej karjerze i zawadza w swym pochodzie o Grodno i Mohylów, w charakterze wicegubernatora, już wtedy zaznaczając swoje polakożercze pragnienia. W oczach cara poczytano to za... znajomość miejscowych warunków i potrzebne uzdolnienie.

W dalszej karyerze służbowej Murawjew zdobywa tytuł generała »*trjochprogonnaho*«. Co znaczy ten tytuł? Oto spełniając trzy grubo płatne obowiązki, wyjeżdżając na objazdy, liczył sobie koszta podróży i dyety we wszystkich trzech instytucyach. Wypadek ten zwrócił uwagę nawet biurokracyi rosyjskiej, jak wiadomo, tak z gruntu zepsutej i łapowniczej. Plwano też nań i odwracano się do niego plecami bez miłosierdzia tak długo, aż poszedł precz.... z rangą senatora.

I takiej to osobistości car daje władzę wszechmocną, nawet z ujmą praw jemu samemu przysługujących — praw złagodzenia wyroku wydanego przez służalca. Przez cały czas rządów Murawjewa ani jeden wyrok jego nie był złagodzony przez cara, ani jedno staranie o to ze strony nie zostało uwzględnione.

A więc, innemi słowy, Murawjew otrzymał jedyną instrukcyę: Rób, co chcesz, wyrznij ludzi, wypal miasta, sioła i dwory, lecz zachowaj mi tytuł własności Litwy i Białorusi.

Do takiej roli Murawjew był odpowiednim, był niemal jedynym w dziejach nawet Rosyi, gdzie o łupieżców i drapieżników wszelkich nie trudno.

Sam on w swych pamiętnikach zapisuje z bezecnym cynizmem, iż zrobił, przyjmując tę nominacyę, wszystko, co mógł, aby uprzedzić cara i społeczeństwo, że w ślad za nim pójdą łzy i klątwy ofiar, a pogarda rodaków, i usilnie nalegał, aby pomimo to dano mu zupełną swobodę ruchów i zdjęto z niego wszelką kontrolę. To ciekawy przyczynek do stosunku zwierzchnika i podwładnego w Rosyi, do stosunku cara do ministra, odpowiedzialnego jedynie wobec uśmiechu cara lub..... kopnięcia nogą.

Wiedziano o tem, że upokorzony a pyszałkowaty dygnitarz, przez lat kilka niełaski i zapomnienia karmiący się własną żółcią i wściekłością bezsilną, rzuci się z miejsca na ofiary, jak rzuca się na żer wygłodniały i ciągle smagany szakal w klatce.

Wiedziano o tem i... spuszczono go z łańcucha, dając prawo dobrania godnej siebie i licznej drużyny.

Nie będziemy tu opowiadali powszechnie znanych a tak smutnych dziejów ostatniego powstania, wszakże musimy uprzytomnić dobrze te oddzielne epizody, które w dalszym ciągu posłużą do scharakteryzowania rosyjskiego bohatera. Tak, bohatera, bo takim robi go ten pomnik, dziś postawiony w Wilnie, takim robi go ta tłuszcza czynowników i popów, która dziś pochwyciła rządy w Rosyi, bo tłuszcza ta w Murawiewie wieńczy siebie, wieńczy swoją działalność wsteczną i bezmiernie spodloną.

Oto geneza pomnika dla Murawjewa.

W drodze do Wilna Murawjew staje w Dynaburgu. Właśnie rozegrał się tam smutny nad wyraz i bolesny akt ostatni powstania, zgniecionego w zarodku w byłych polskich Inflantach. Specyalnie przysłany z Petersburga generał Dłotowskij zniszczył oddziały powstańcze Platera za pomocą arcy-szatańskiego pomysłu. Oto wmówił licznie tam osiadłym starowiercom, (z czasów Mikołaja I i dawniejszych), ażeby wystąpili przeciw polskiej szlachcie i dworom. Rozkiełznana dzicz mor-

dowała i paliła bez pamięci i miary... Murawjew w swej mowie do szlachty i miejscowych urzędników zapowiedział cały szereg podobnych środków; czyny starowierców nie wahał się nazwać dobrze spełnionymi obowiązkami wiernych poddanych i Dłotowskiego podał do nagrody.

Po takim wstępie w Dynaburgu o ciąg dalszy nie trudno było już w Wilnie. Nowy dyktator rozpoczął swoją działalność od ryczałtowego uznania wszystkiej szlachty i duchowieństwa sześciu gubernii, jakoto: wilenskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, mohylewskiej i witebskiej za buntowniczą i wyjął ich z pod prawa. Odtąd urzędnik z jego drużyny, żołnierz i pop stali się szpiegami, względem których najdziksze przepisy i rozporządzenia nakazywały szacunek i bezwzględne posłuszeństwo.

Ze znacznej liczby urzędujących Polaków jednych, którzy się podali do dymisyi, oddano pod sąd za to jedynie, że się podali, a drugich usunięto z zajmowanych posad, choć chcieli służyć i pracować. Nie było tedy wyjścia, nie było tłómaczenia, każdy musiał być winnym w oczach Murawjewa. Na miejsce usuniętych wstąpili nowi oddani służalcy, usunięci ze wszystkich gałęzi administracyi w głębi państwa i odtąd stałą falą napływają całe ich zastępy, aż do naszych czasów. Murawjew uzyskał dla nich u tronu lepsze wynagrodzenie i znaczne przywileje służbowe.

W liczbie tych godnych towarzyszów drapieżnika odznaczyli się najwybitniej, krom wspomnianego Dłotowskiego, pomocnik w zarządzie cywilnym a późniejszy generał-gnbernator Kaufman, generałowie Maniukin i Bakłanow, oraz arcy przedawczyk własnych rodaków — Józef Siemaszko.

Dwie dywizye wojska, najdłużej będące pod rządami i zwierzchnictwem Murawiewa, zostały z gruntu spodlone, gdyż wszyscy oficerowie zostali katami a wszyscy żołnierze szpiegami. Karetę generał-gubernatora eskortowali zawsze oficer żandarmeryi i asauła kozacki, którzy stale doświadczali brutalności despoty i upodlającego poniżenia. T. zw. naczelnikom wojennym« uczastkowym oddano bezbronny kraj na łup i pod władzę dyskrecyonalną i tem samem powołano do działania najdziksze zwierzęce instykty ludzkie i najwyuzdańszą swawolę. Murawjew tedy stworzył cały legjon smutnych działaczy, którzy trwają aż dotąd a pochodzą z grupy, odznaczonej nagrodami „*za usmirenje polskaho miatieża*“. Oprócz pomocników na miejscu, Murawiew miał opiekunów i w Petersburgu, a tymi byli w pierwszym rzędzie ministrowie Milutin i Zielenoj i kilku innych, ogół jednak zachowywał się względem niego z wyraźną pogardą. Powszechnie znanym jest fakt cofnięcia ręki Murawjewowi przez Suworowa, wnuka znanego generała, podczas wspólnej bytności w carskim pałacu zimowym.

Lecz dajmy głos Rosyaninowi, historykowi i poecie, Mikołajowi Bergowi, który tak pisze w miesięczniku *Ruskaja Starina* z r. 1883:

»W Michale Murawjewie nie spotykamy nawet śladu genialnego administratora. Nie mniej przeto on to uspokoił kraj, doprowadzony przez jego poprzednika (Nazimowa) do strasznego bezładu, lecz dokonał tego środkami, które w Europie zowią się barbarzyństwem, dzikim azyatyckim terrorem«.

»Tacy »ludzie« już dawno zaginęli w Europie, a teraz chwała Bogu, zaczynają ginąć (czyżby? a może tylko wyradzać się) i u nas w Rosyi i mamy prawo sądzić, że drugi Murawjew jest wprost niemożliwy. Był to ostatni z »Mohikanów« naszych ciężkich dni i dlatego przykro dziś czytać i słyszeć, że jeden jeden tylko Murawjew posiadł tajemnicę rządu nad Polakami«.

»To samo, co zrobił, można dokonać w jakimś kraju z gruntu zrewolucyonizowanym, nieznosząc z powierzchni ziemi wielkich siół i nie wysyłając na wygnanie ich ludności wraz z kobietami, dziećmi i niemowlętami, w głąb syberyjskich kopalń nie wieszając i nie rozstrzeliwając niemal codziennie«.

»Nie, — Rosyanom najbardziej należałoby powstrzymać się od wszelkich pochwał »panów Murawjewów«, gdyż my wszyscy posiadamy sporą dozę »murawjewszczyzny«, dzikości i barbarzyństwa. Zkąd się to bierze, nie będziemy badali, gdyż to by nas zaprowadziło za daleko My wszyscy kochamy się w zniszczeniu i uciemiężaniu« . . . . . .

Tak mówi ten, jak niemniej wielu innych światlejszych Rosyan, zarówno współczesnych Murawiewowi, jak i późniejszych. Dla Murawjewa, krom wyżej przytoczonych tytułów, używają stale określeń takich, jak: drapieżnik, barbarzyńca, okrutnik, wyrodek ludzkości i wyrzutek własnego społeczeństwa.

Jeden z podwładnych generałów Murawiewa, mówiąc o nim, nazywa go »nosorożcem«. M. Berg mówi, że »kiedy Murawiew był rozgniewany, usta jego trzęsły się, a okrągłe oczy tygrysa napełniały się krwią«. A dalej robi dowcipną uwagę, że, gdy zakryć na fotografii Murawiewa mundur, otrzymamy doskonałe wyobrażenie buldoga, które to uderzające podobieństwo wyzyskał wybornie angielski *Times*, dając słynną ilustracyę.

Lecz nietylko był on okrutnym, był on nad wyraz wszelki i przykład grubijańskim w stosunku i cynicznym. Na dowód tego możemy przytoczyć mnóstwo faktów. Tak np. wezwawszy do siebie generała, który nie dopatrzył jakiegoś oddziału powstańczego, *opluł go po prostu*, nie mówiąc ani słowa.

Sam osobiście, w nocy, udał sie do klasztoru Wizytek, aby zgwałcić regułę zakonną, nie dozwalającą wstępu mężczyznom za kratę, i widzieć srom i przerażenie zakonnic. Urzędnikom wszystkim, policyantom i oficerom, nadał prawo dowolnego aresztowania Polaków na ulicach, placach, w kościołach, nie wyłączając kobiet. Żyją jeszcze setki świadków, stwierdzających cały szereg bezwstydnych i łotrowskich postępków: nie wahano się publicznie znieważać młodych mężatek i panien, podnosząc im suknie dla sprawdzenia, czy spódnica nie jest szarą lub czarną, a więc czy nie jest ukrytą żałobą, która została najsurowiej zabronioną. Znaną jest powszechnie rozmowa despoty z przejeżdzającym hr. Bergiem, bądź co bądź człowiekiem wyższej ogłady.

— »U mnie każdy szlachcic jest winien; częstokroć każę więzić zgoła bez żadnych dowodów i trzymam w więzieniu bez przyczyny. Proszę sobie wyobrazić, że mam tak szczęśliwą rękę, że zawsze się coś znajdzie w końcu i kończy się to co najmniej wygnaniem«.

Lub też: »Panów pochowałem, młodych zwolenników politycznej propagandy wytraciłem, a zawsze i wszędzie rządzę się zasadą, iż jeśli człowiek jest wart powroza, niech zawiśnie jak najprędzej.«

Gdy była mowa o wypadku ukazania się jakiegoś podejrzanego kominiarza na dachu klasztornym w Warszawie, Murawiew doradzał zrównanie całego klasztoru z ziemią. Dla niego był to nader zwykły czyn, więc dziwił się, że można tu jeszcze zastanawiać się choć chwilę.

Wyroki podpisywał za wyrokami, jedne od drugich surowsze. Jeżeli naczelnik sztabu przy osobistym raporcie, wskutek różnych kombinacyi, starał się niekiedy o złagodzenie wyroku, Murawiew wyrywał papiery z rąk jego i szybko je podpisywał. Słowa: »rozstrzelać,« »powiesić«, były stale pisane wyraźniej od innych, rzekłbyś — z wyjątkową przyjemnością«.

Był to również człowiek niezwykle gminnych upodobań i gustów. Tak np. nigdy i od nikogo nie przyjmował żadnego wstawiennictwa, zarówno własnych generałów, jak duchowieństwo i arystokracyę rodową polsko-litewską łajał najobelżywiej, gdy częstokroć przywoływał do siebie jednostki ohydne, jak pijaków policyantów, diaków i podoficerów. Tylko jednemu golibrodzie, Polakowi, który codziennie golił go, udawało się czasem obronić niewinnie skazanych przez policyę na areszt lub karę pieniężną. Być może, że grała tu pewną rolę obawa tyrana wobec człowieka, który z brzytwą w ręku miał codzień jego gardło przed sobą.

A obok tego Murawjew wobec silniejszych zdradzał całą marność swej duszy.

Przypominano niejednokrotnie, że pyszałkowaty despota mongolski wśród niewolników i służalów częstokroć, ze zmianą warunków, stawał się »*tisze wody, niże trawy*«, łamał sie jak łokieć ciesielski i sam był najbardziej służalczym, ilekroć chodziło o własny jego interes, o własną korzyść.

Rządy Murawiewa skierowane były ku zniszczeniu wszystkiego, co polskie, a z drugiej strony do zaszczepienia w kraju, rządzonym podług swojego upodobania, nowych dążności i kierunków rzekomo silnego i słusznego rozwoju prawosławia i zruszczenia.

Czy Murawiew istotnie był pobożnym, a co ważniejsza, czy był rozumnie i właściwie pobożnym? Czy można być chrześcijaninem, nienawidząc religii katolickiej i ślepo wierząc w prawosławie? Pierwszemi ofiarami jego byli dwaj księża, za którymi ogół dawał najlepsze świadectwo, a nawet wstawiał się ulubieniec jego Siemiaszko.

— »Nie znam litości dla kogokolwiekbądź, zwłaszcza dla księży«.

A gdy Siemiaszko wspomniał o Bogu i Opatrzności, dodał cynicznie:

— »Czy ty widziałeś kiedy tego Najwyższego, bo ja wyznaję, iż, przeżywszy z górą 60 lat, nie widziałem go ani razu«.

Na dwadzieścia zaś lat przed opisaną rozmową żądał poświęcenia na nowo jednej z cerkwi moskiewskich z powodu, iż ją pohańbił... zwiedzający Turek swoją obecnością.

Widzimy tedy i wstrętną hypokryzyę i cynizm i najciemniejszy zabobon, a jednak Murawiewowi narzucają rolę wielkiego krzewiciela prawosławia na Litwie i Białorusi. Jakoż był on nim istotnie, przy pomocy bagnetów, sfanatyzowanych popów i własnej gotowości do szukania nowych dróg dla swej krwiożerczości.

Na jedno jego skinienie zamykano i rabowano kościoły i klasztory i wywożono zakonników i zakonnice, natomiast odnawiano zapomniane cerkwie i dźwigano nowe; zawsze chciwe władzy duchowieństwo prawosławne z Moskwy i innych zakątków Rosyi, pierwsze dało hasło uznania zasług tak dzielnego obrońcy prawosławia. Obrońcy? — lecz wobec kogo i jakiej napaści? Wszak cerkwie upadały przez lata całe nie z powodu prześladowania, lecz z braku poparcia i potrzeby samej ludności prawosławnej na Litwie i Białorusi. Murawjew, tedy i jego następcy narzucili prawosławie i sztucznie wytworzyli tu dla niego względnie znaczne środowisko, zalewając te nieszczęsne kraje całą armią czynowników i popów. Łatwo było przecież konfiskować obszerne dobra ziemskie i sprzedawać za bezcen, lub rozdawać wybranym zausznikom i działaczom, łatwo było podejmować kosztowne usiłowania dla sprowadzania z krańców państwa wyrzutków społeczeństwa za pieniądze, złupione z ziemian, duchowieństwa i kościołów.

Murawjew to robił jedynie w nadziei poparcia w sferze ciemnego i sfanatyzowanego duchowieństwa prawosławnego i te nadzieje go nie zawiodły.

Lecz upokorzyć i zgnębić szlachtę i księży było dla niego zamało, on jeszcze zapragnął rzucić zarzewie nienawiści i rozterki w łono samego społeczeństwa i zniszczyć je ekonomicznie. Więc szły szeregiem środki następujące. Dla sześciu gubernii ustanowiono specyalną komisyę do spraw włościańskich i w myśl głównego doradzcy w tej sprawie, Milutina, postawiono między chłopem i dworem t. zw. *„mirowego pośrednika“*. Nowy ten urzędnik odtąd staje się ciągłem ogniskiem wszelkich nieporozumień i powikłań. Murawjew obdarza chłopów ponownie, jego służalcy kawałkują ziemie dworskie i ustanawiają tysiące »pasów« i najpotworniejszych służebności, a wszystko to w jednym celu, aby zohydzić dwór w oczach chłopstwa i rzucić je w objęcia czynownika i popa. Niedość tego, Murawjew ustanawia z chłopów milicye »dobrego porządku«, nakazuje szpiegować, łupić i więzić panów, księży i szlachtę, na dwory wkłada obowiązek żywienia tych milicyi, darowuje chłopom olbrzymie ilości drzew, wycinanych w dworskich lasach na 50 sążni po obu stronach każdej drogi, nakłada na właścicieli dóbr setki konfiskat, tysiące sekwestrów, a wreszcie stałą, znaczną kontrybucyę w wysokości 10% dochodu. Jednem słowem stwarza całą otchłań nędzy, rozpaczy i ohydnego ucisku...

Powstanie zostało zgniecione, ale ziemie polskie wyszły z tej orgii okrucieństwa niezmazane, jeno w nowe światło miłości spraw własnych i poświęcenia dla ogółu zbrojne. Prawda, kraj aż dotąd nie może podźwignąć się z ekonomicznej ruiny, ale dobry lud litewski i białoruski nie dał się pociągnąć na drogę występnej działalności i lubo ustawicznie pojony, łudzony nieziszczalnemi obietnicami i podszczuwany, nie dał się uzbroić gromadnie przeciw panom i księżom, nie dał się obałamucić hasłu krwawej pomsty za wiekową niewolę i poniżenie. W najszczegółowszych badaniach tych smutnych lat spotykamy jeno pojedyńcze wypadki występku, na tak wielką skalę apostołowanego.

Kiedy Murawjewowi doniesiono, że za głowę jego tajny rząd rewolucyjny naznaczył nagrodę 25 tysięcy rubli, wyrzekł cynicznie: »Wkrótce dadzą więcej«.

Lecz przeliczył się ów okrutnik ze swojemi siłami, z tym wpływem, który mu nadali czynownicy i popi. Po upływie niespełna dwóch lat został on odwołany z zajmowanego stanowiska i ponownie usunięty dla... poprawienia zdrowia. Jakoż zdrowie w samej rzeczy można było stracić, lecz Murawjew miał już wtedy lat 69, a więc miał wroga sil-

niejszego od Polaków i Litwinów, zbrojnych jeno w miłość kąta rodzinnego i niezbyt szeroko poznanej przeszłości.

Takim był Michał, syn Mikołaja, hr. Murawjew, nagrodzony tym tytułem za czyny, dokonane na stanowisku wileńskiego generał-gubernatora. Rząd rosyjski wie zbyt dobrze, że te dwuletnie rządy jego spowodowały aż około 250 wyroków śmierci, dziesiątki tysięcy wygnań i skazań do rot aresztanckich lub kopalń, sioła starte z powierzchni ziemi, miliony strat i ofiar bezowocnych... Ale w r. 1865 Litwa i Białoruś były rzekomo silnie utrzymane dla Rosyi, więc...

M. Berg mówi na to:

»Nikt nie jest zdolny tak prędko zapomnieć o nikczemności jednostki, ilekroć ta w czemkolwiek okaże się uzdolnioną, choćby przypadkowo, jak Rosyanie. Na przeszłości Murawjewa cięży wiele plam, a jednak... W podobnych warunkach odznaczył się w górach Libanu w latach 1830 — 40 Emir Beschir, lecz jego skazano na wygnanie«...

Statystyka wykazuje, że podczas rzędów Murawjewa jedna egzekucya wypadała na 3 dni, czyli, że zginęło z rozkazu jego około 250 osób. Co do wygnanych i skazanych na różne terminy do rot aresztanckich, kopalń i na osiedlenie, braknie nam cyfr; nie ulega atoli wątpliwości, że ta druga kategorya obejmuje dziesiątki tysięcy jednostek Absolutnie zaś nie było szlachcica lub księdza w tej bolesnej epoce, któryby krócej lub dłużej nie siedział w więzieniu...

Lecz, czy to już wszystko, co można powiedzieć na zasługę i chwałę najnowszego bohatera Rosyi?... Już choćby dla porządku należy wskazać na świadome zmasowanie winnych, wysyłanych drogą administracyjną, do czego przyznawał się sam Murawjew, tłumacząc się brakiem czasu i ogromną ilością więźniów w przepełnionych więzieniach. Dodajmy tu, że liczebnie ilość więzień w epoce rządów Murawjewa była przynajmniej pięćkroć większą, niż zazwyczaj, gdyż zamykane klasztory obracano na więzienia.

O ile strat ekomicznych przyprawił Murawjew Litwę, obdarzoną nareszcie spokojem i powołaną do szczęśliwego rozwoju podług jego urządzeń, niepodobna obliczyć. Faktem jest jeno, że Murawjew zbogacił siebie i swoich najbliższych, jak niemniej ważył się na olbrzymie wydatki przy rozszerzeniu prawosławia i idei państwowych, a obok tego zbogaciła się cała zgraja czynowników, wykonawców jego woli. Jedno jest pewnem, że kraj legł we krwi skąpany, na gruzach swojego dobrobytu.

Odtąd Litwa i Białoruś datują swój materyalny upadek i, mimo usilnych starań, nie są w stanie zagoić swych ran dotkliwych. I nic dziwnego, bo ów »wielki bohater« rozpoczął swojem imieniem cały szereg, podobnych, lubo mniej osławionych działaczy.

Wszystko to jeszcze nie daje nam pełnego obrazu wileńskiego satrapy. Trzeba jeszcze przejrzeć korespondencyę Murawjewa z ówczesnymi ministrami, a więc z Wałujewem, Milutinem, Zielonym i w. i., aby się przekonać, że ów zwierz dziki, niesyty krwi i widoku rozpaczy kraju zarządzanego, z dobrej już woli, dla samej idei okrucieństwa, narzucał swoje poglądy wszystkim ministrom i mężom stanu, pragnąc choćby idejowo przedłużyć dla siebie uczucie zaspokojonej krwiożerczości. A więc Murawjew, z arogancyą i pyszałkostwem narzuca swoje poglądy na wybór miejsc zesłania dla skazanych, i ustawicznie się skarży na ulgi, robione skazańcom za jego plecami, podczas przejazdu przez Petersburg. On radby, bez różnicy winy, co i sam zeznaje, wszystkich posłać w podziemia kopalni lub choćby na osiedlenie w odległe punkty rosyjskich posiadłości w Europie i Azyi. Inaczej nie nazywa on tych skazańców, jak »szują różnorodnego gatunku«, rzekomo walczy za sprawy religijne i państwowe, a w czarnej swej duszy troskliwie pielęgnuje wielką myśl państwową, żeby z góry wybrać miejscowości na osady wygnańcze tak, aby głód, klimat, ewentualnie i dzikie zwierzęta stały się zagładą wysłanych. Oburza się strasznie, kiedy np. Wałujew wspomina mu o ogólnych względach ludzkości, bo on tej ludzkości nie znał, bo on w swej istocie nie czuł ani jednego jej głosu. »On ani razu nie widział Najwyższego«.

A więc teraz już go znamy. Znamy tego wielkoluda, tego nadczłowieka w najpotworniejszem zwyrodnieniu człowieczej istności. Takim samym niemal znało go współczesne i późniejsze społeczeństwo rosyjskie, takim samym zna go jeszcze dziś ogromna jego większość. Zkądże więc pomnik? zkąd ta apologia wyrzutka ludzkości i zaprzańca społeczeństwa? Czyżby już wygasła śród Rosyan pamięć o tem, że z jego rozkazu spalono *całe dwa sioła* aż do fundamentów i *wszystkich* mieszkańców popędzono na Sybir. Sioła te były: *Jaworówka* w białostockim pow. grodzieńskiej gubernii i *Ibiany* w kowieńskiej gub. i pow. Tam kierował ohydną egzekucyą pułkownik Manteuffel (ze szlachty kurlandzkiej), tu zaś osobiście odznaczył się syn wielkiego bohatera, ówczesny gubernator kowieński. »W zimny poranek, przed świtem, otoczyliśmy wieś całą w cichości, a gdy przerażona ludność wybiegła w bieliźnie z okrzykami bólu, nakazaliśmy niezwłocznie wynosić co się da i wychodzić w szczere pole. W popłochu działy się rabunki i bezecne gwałty... Po upływie pół godziny kozacy otoczyli ludność i podpalili wieś ze wszystkich stron. Kiedy płomienie strzeliły ku niebiosom, na spędzone furmanki z włości najbliższych umieściliśmy kobiety brzemienne, lub wnet po połogu będące, i gnaliśmy cały tłum do

najbliższego miasta, do najobszerniejszego więzienia. Zgliszcza następnie zaorywano«.

Tak opowiada świadek naoczny, Rosyanin.

Tak działał zasłużony mąż stanu »europejskiego« państwa, w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia. Postawiono mu obecnie pomnik.

II.

Wyżej już zaznaczyliśmy ścisłą genezę pomnika, wskazując na wybitne wstecznictwo Rosyi we wszystkich kierunkach rozwoju duchowego, na ten duchowy terror, który oddał całe to wielkie państwo na pastwę popów i czynowników. W tem leży przyczyna ogólna, lecz nie brakło i innych, już to bardziej miejscowej natury, już też grających rolę okoliczności zewnętrznych, wyjątkowo szczęśliwych.

Uprzytomnijmy sobie rządy wileńskiego generał - gubernatora Kachanowa. Powszechnie znaną jest ta osobistość. Człowiek bez wykształcenia, z gminnemi upodobaniami i żądzą rozpusty na każdym kroku, przez cały czas swoich rządów całą swoją władzę usiłował zużytkować na osobiste zadowolenie swoich nikczemnych popędów. Ta okoliczność zmusiła go do ścisłego zbratania się z policmajstrem Rajewskim i godna ta para niepodzielnie oddała się na usługi kurtyzanek, ich mężów i upodobań, a do nich przyłączył się powabny »Koko«, syn Kachanowa, ku wstydowi i hańbie naszej arystokracyi przyjmowany przez nią z uznaniem.

Ostatecznie takie stanowisko Kachanowa mogło być dla nas w pewnej mierze dogodnem, lecz z Petersburga szły wymówki i upomnienia, a miejscowy mentor moralno-umysłowy, Siergiejewskij, kurator wileńskiego okręgu naukowego, podsuwał coraz to nowe projekty dla umocnienia prawosławia i zruszczenia kraju. Śród tej otchłani brudów i podłości, należało się zdobyć na coś niezwykłego, aby w ten sposób pozyskać poklask wstecznej kameryli.

W takiej to chwili ex-urzędnik, usunięty ze wszystkich wydziałów służby rządowej, korespondent dziennika *Nowoje Wremia*, p. Władimirow wystąpił z projektem pomnika dla Murawjewa. Kachanow, a bardziej jeszcze Samojłow, jeden z naczelników jego biura i mąż ulubienicy generał-gubernatora, podjęli ten projekt z całą gorliwością. Myśl raz rzucona znalazła wnet poparcie całej armii podobnych działaczy, jak niemniej i w gadzinowej prasie, reprezentowanej przez *Moskowskija Wiedomosti* i *Swiet*.

W jaki sposób zbierano składki?

Przedewszystkiem w sześciu litewsko-białoruskich guberniach we wszystkich gałęziach administracyi i sądownictwa, jak również i śród duchowieństwa prawosławnego. Zastosowano system odliczania z pensyi

potrzebnych składek. A obok tego zlecono organom policyjnym wywrzeć nacisk na właścicieli domów, dóbr ziemskich, fabrykantów i kupców. Składki dobrowolne i chętne zaczęły płynąć nader obficie, ile że dla tej pięknej sprawy zdołano z łatwością pozyskać względy Aleksandra III i Pobiedonoscewa.

Oprócz tego wspomniane organy polakożercze wezwały do udziału ogół społeczeństwa rosyjskiego, a kancelarya wileńskiego generał-gubernatora rozesłała czułą odezwę do wszystkich zarządów gubernialnych w państwie.

W taki sposób zbierano lat siedem i ostatecznie zebrano około 60 tysięcy rubli.

Uważamy za swój obowiązek napiętnować nawet z pewnym naciskiem wywołany udział Polaków i Litwinów w składkach na pomnik, a już tembardziej zupełnie dowolną i świadomą gorliwość, gdyż na nieszczęście i takie wypadki, lubo nader nieliczne, zdarzyły się. Dla przykładu zapiszemy tu nazwisko księcia Druckiego-Lubeckiego, który jeden z pierwszych pospieszył z hojną ofiarą 500 rubli.

Przy tej sposobności musimy zaznaczyć, że dzieje się u nas wiele jeszcze podobnych łajdactw społecznych i narodowych, przeważnie spełnianych przez ludzi marnych, potomków Targowiczan i najbardziej współczesnych ugodowców. Najpowszechniej przyjęte tłómaczenie się tych panów obowiązkiem ulegania w drobiazgach dla obrony ważniejszych spraw jest jeno usiłowaniem ukrycia własnego sobkowstwa i znikczemnienia. Rzecz prosta, że w najbliższej przyszłości nie pozostanie nam już nic innego, jak ujawnianie poszczególnych podobnych wypadków.

Najniespodziewaniej sprawa pomnika zamiast posłużyć Kachanowowi do uzyskania nowych patryotów, bardzo się przyczyniła do jego upadku z powodu, iż ujawniono znaczne kradzieże sum dyskrecyonalnie nadsyłanych.

Następca jego, Orżewskij, może gorszy jeszcze, bo inteligentniejszy i zręczniejszy, jako były szef żandarmów, był stale przeciwny sprawie pomnika, wychodząc z punktu widzenia, że Murawiew był osobistością bardzo marną i że zamierzony pomnik wywoła ogrom rozdrażnienia w społeczeństwie. Sprawa tedy uległa zwłoce, lecz już nie mogła być pogrzebaną.

Podjął ją na nowo Trockij, obejmujący jednocześnie stanowisko generał-gubernatora i główno dowodzącego wojskami. Godzi się przy tej sposobności zanotować, że przez rok niemal nie było w Wilnie generał-gubernatora; ta okoliczność dała pochop naszym ugodowcom do wypowiedzenia głębokiego poglądu, że rząd robi próbę naszej dojrzałości społeczno-politycznej i że tedy należy odpowiednio do tego się za-

chować. Biedacy! przekonali się wkrótce, że była to raczej sprawa naglącej oszczędności, gdyż generał-gubernatorstwo wileńskie pochłonęło olbrzymie sumy, nie dając odpowiednich rezultatów.

Generał Trockij jest to najzwyklejszy parweniusz, bez zasług i talentu, jeden z tych wielu, którzy wydobywają się na widownię z ogólnej toni zdemoralizowanej biurokracyi rosyjskiej. Specyaliści przyznają, że w najlepszym razie jest to niezły dowódca dywizyi, na stanowisko zaś generał-gubernatora nadaje się tak dobrze, jak na urząd tybetańskiego arcykapłana. Jest to bardzo pospolity i ograniczony *stupajkła* któremu po nominacyi w Petersburgu włożył ktoś naprędce do ba krótki katechizm prawowiernego *obrusitiela.*

— »Panowie znajdziecie we mnie jedynie obrońcę i krzewiciela wszystkiego, co jest rdzennie rosyjskiem« — powiedział ów wielki mąż ze swadą podoficerską na przyjęciu przedstawicieli miasta i ludności.

I zostaje wiernym tej zasadzie, kręcąc się, jak manekin, obracany przez Sudiejkina, dyrektora swej kancelaryi w zarządzie cywilnym.

Oczywiście Trockij skwapliwie chwycił się sposobności odznaczenia się na służbie i gorliwie podjął sprawę budowy pdmnika a cała armia drobnych działaczy podsunęła mu dalsze projekty: muzeum »murawjewowskiego«, herbaciarni i czytelni »murawjewowskich«, kościoła »murawjewowskiego«. szkoły, ulicy i całego przedmieścia i t. p, doniosłych zadań.

Wszystko powyższe złożyło się na przyspieszenie budowy pomnika. Pozostawało jeszcze w Petersburgu znaleźć silną opiekę i poparcie, co otrzymano z przedziwną łatwością. Od niedawna u steru rzędu stanęli aż dwaj Murawjewowie, minister spraw zagranicznych i minister sprawiedliwości i ci dwaj męże dali moralne poparcie sprawie pomnika, posiłkowani dzielnie przez pp. Gringmuta i Komarowa.

Stanął tedy pomnik na Dworcowym placu, oczywiście w tym celu, ażeby każdy następny generał-gubernator miał ciągle przed oczyma, jakiemi drogami idąc i jakich środków używając, może liczyć na podobny zaszczyt i nieśmiertelność w Rosyi.

Wilno, na mocy carskiego ukazu, ma już samorząd od lat dwudziestu kilku, który to samorząd od lat pięciu został grubo obcięty na korzyść władzy gubernatora. Gubernatorowi mianowicie pozwolono nie zatwierdzać postanowień i uchwał rady miejskiej, podług upodobania i bez tłómaczenia.

Faktem jest niewzruszonym, że miasto nie dało pozwolenia, ani wyraziło ochoty ku temu, ażeby pomnik stanął, i nikogo nie upoważniło do wyręczenia go w tej sprawie, a przecież złożył się komitet budowy i zgoła samowolnie postawił na placu miejskim nietylko pomnik, lecz

powycinał krzewy i stare drz wa na miejskich placach i skwerach. Ponieważ Wilno liczy — według niezbyt dokładnych i nieprzychylnych nam danych urzędowych — Polaków i Litwinów 45 tys.. Żydów 75 tys. i Rosyan 20 tys., oprócz nieznacznej liczby Niemców, Tatarów i innych narodowości, więc godziło się zapytać miasta, obdarzonego samorządem, czy to miasto pragnie pomnika, a nie opierać się na życzeniu jakiego tysiąca czynowników i policyantów. Nie ulega wątpliwości, że przy tak postawionej sprawie pomnik mógłby jeno stanąć w koszarach wojskowych, na dziedzińcu pałacu generał-gubernatorskiego lub w ogrodzie archijerejskim.

Oczywiście tak nie zrobiono i dla tego pogwałcono ów samorząd miejski w sposób brutalny, w sposób żywo przypominający czasy »murawjewowskie«. Lubo wileńska Rada miejska stale odznacza się lenistwem, karygodną ospałością i tchórzostwem, nie możemy ryczałtowo zrobić jej zarzutu zupełnego znikczemnienia. Rada pomnika nie chciała, niemniej przeto jest winną i winną na zawsze w tem mianowicie, że nie umiała się zdobyć nawet na legalny i wprost ją obowiązujący protest w tej sprawie. A więc i ją musimy zaliczyć do liczby budowniczych tego obydnego pomnika.

Streszczając, cośmy powiedzieli, stwierdzamy, iż:

Pomnik Murawiewa ma swoje źródło w ogólnem upodleniu biurokracyi rosyjskiej i jej wstecznictwie, w fanatyźmie i pysze prawosławia, a wreszcie w służalczości drobnej części społeczeństwa polskiego — lojalistów. Pomnik ten został narzucony mieszkańcom Litwy i w ten sposób zostały pogwałcone najprostsze prawa uczciwości i tolerancyi religijnej, społecznej i narodowej. Pomnik ten wreszcie jest najsmutniejszem świadectwem współczesnego rozwoju i dążeń Rosyi, oraz nizkiej kultury etycznej współczesnego społeczeństwa rosyjskiego.

Są pewne ogólne prawa, których pogwałcenie staje się jednako występnem dla Polaka i Rosyanina, dla Litwina i Samojeda, a Murawjew był zbrodniarzem w całej swej działalności, zbrodniarzem, naigrawającym się z elementarnych zasad moralnych, na których zdobycie ludzkość tyle wieków pracowała.

Teraz pozostaje nam już tylko w prawdziwem świetle przedstawić samą uroczystość odsłonięcia pomnika, o której ze źródeł rosyjskich możnaby nabrać nader opacznego pojęcia.

Kto wziął udział w uroczystości?

Znowu ta sama litania aż do znudzenia. Większe i mniejsze czynownictwo miejscowe, krewni, przyjaciele i znajomi byłych generał-gubernatorów wileńskich, mocno rozrodzony ród Murawjewów i ich pokrewnych w Rosyi, lud litewski i białoruski spędzony przez »pośred-

ników« i »urjadników«, redaktorowie gadzinowej prasy, jako to: *Wileńskiego Wiestnika*, *Moskowskich Wiedomosti i Swieta*, a wreszcie gromady żydów wileńskich. Były obecne rownież wojska okręgu wileńskiego.

Przybycie czterech ministrów z Petersburga i pomocnika szefa żandarmów bynajmniej nie uświetniło uroczystości. Załatwiono się nią możliwie szybko i z paradą wielce problematycznej doniosłości. Na ulicach tłumy żydów i kacapów stały milczące i zagapione, trzystu *ad hoc* sprowadzonych policyantów z Moskwy i *urjadników* z prowincyi, daremnie wypełniali ulice i place nieustanną gorliwością — cały pochód pozostał iście żałobnym.

W całej uroczystości zwracają uwagę jedynie dwie mowy, jako już nadprogramowe dodatki, wypowiedziane przez ministra sprawiedliwości i p. Komarowa, redaktora i wydawcy *Swieta*.

Mowa ministra Murawjewa była arcydziełem sztuki krasomówczej, cynizmu i bezczelnego kłamstwa.

Pan minister powiedział, że pomnik dla człowieka jest wyrazem czci dla dzieł jego. Nie wypada mu wszakże przyznać, że dzieła te najlepiej można określić jednym wyrazem — zniszczenie, nie mógł napluć w twarz całej rządowej Rosyi i sobie samemu przyznaniem, że nic w tym kraju nie zbudowano, że nie wykazano żadnej siły twórczej że nie zrobiono żadnej roboty płodnej dla przyszłości, że było dzikie okrucieństwo, nienawiść nietylko do polskości, ale do cywilizacyi, do wszystkiego, co wyższe moralnie, że była tylko zajadłość w niszczeniu dobytku materyalnego, umysłowego i moralnego, nagromadzonego przez pokolenia, przez pracę ich w ciągu wieków, zajadłość posunięta aż do wypalania ludzkich siedzib i zaorywania po nich ziemi. Rozumie on, że chełpienie się tem możliwe było za czasów Atylli, ale dziś nie jest w dobrym tonie, Więc pomógł sobie najbezczelniejszem kłamstwem. Zdeptanie katolicyzmu, zmuszenie ludu do ukrywania się ze swemi wierzeniami nazwał rozrostem prawosławia na Litwie i Białorusi, skrępowanie polskości niezliczonemi prawami wyjątkowemi — silnem i wszechwładnem panowaniem żywiołu rosyjskiego, zniszczenie ekonomiczne i powstrzymanie postępu — ogólnym dobrobytem i uszczęśliwieniem kraju. Dał dowód, że niema kłamstwa, któregoby rosyjski dygnitarz państwowy publicznie nie mógł popełnić, dał go umyślnie, ażeby umocnić czynowników w wierze, iż podłością i bezczelnem naigrawaniem się z prawdy długo jeszcze można będzie panować nad lepszymi od siebie. Za to zebrał sowite oklaski,

Jeszcze silniej mongolska kultura moralna wyraziła się w mowie Komarowa.

Ten po prostu chciał przypomnieć zebranym uczestnikom uroczystości, jaki był smak i zapach owej »murawjewszczyzny«. A więc jął naprzód dowodzić, wymieniając pojedyncze osobistości, że Murawiew i drużyna jego współdziałaczy, byli to ludzie najlepszego serca, wielkiego umysłu i najprzyjemniejszych cnót towarzyskich. Był to, jednem słowem, zbiór wyjątkowy dobrych, zacnych i szlachetnych jednostek, którym bez różnicy należałoby stawiać pomniki.

Dumny, że może sobie publicznie użyć w azyatyckim smaku, począł wyliczać łaski wszędzie i zawsze świadczone Polakom, a wreszcie dał ujście swemu oburzeniu, dla czego Polacy w Wilnie i ogólnie w kraju stronią od Rosyan i natychmiast w sposób sobie właściwy tłómaczył to zjawisko. Oto Polacy zostają pod wpływem jedynie żywiołów rewolucyjnych, a więc.. należy przeciw temu wystąpić natychmiast i energicznie, należy wystąpić po »murawjewowsku«, ażeby i w ten sposób uczcić pamięć wielkiego bohatera. Cała ohyda podobnego wystąpienia ze strony gościa, przybyłego do Wilna, uszła mu najzupełniej bezkarnie; owszem czynownictwo, zawsze gotowe do łajdactw, sutą biesiadą podejmowało p. Komarowa... w szlacheckiem klubie, kędy suną często ochocze gromadki wyrodków polskich dla zabawienia się szulerką i polityką bez illuzyi.

Lecz szczytem komedyanctwa Komarowa były słowa:

»Gdyby ktokolwiek zarzucił Murawjewowi, że on walczył jako wróg Polaków, ten poczciwy Michajło Mikołajewicz rozśmiałby się serdecznie swoim miłym i dźwięcznym śmiechem. On — wróg Polaków?! Ależ on pracował li tylko dla ich dobra, oddając na ten cel swoje zdrowie, swoją dobrą opinię i karyerę«...

Prócz wzmiankowanoch uczestników, w uroczystości wzięli udział delegowany klubu rosyjskiego w Warszawie z adresem i wieńcem, a dalej z dobrej i nieprzymuszonej woli trochę »wdzięcznych Żydów« i jako gość skromny i ciekawy, biskup wileński Zwierowicz.

Ciekawość to trochę zbyteczna, a skromność, nakazująca duchownemu przedstawicielstwo spodlenia narodowego i moralnego upadku — zaszła za daleko.

Generał-gubernator Trockij otrzymał również kilkanaście telegramów i nieco więcej listów. W liczbie pierwszych czytamy pozdrowienie kanonika Sęczykowskiego z Omska, Kachanowa, wdowy Orżewskiej, wielu krewnych Murawiewa i jednego profesora z Petersburga; w liczbie zaś drugich wiele bredni od żyjących jeszcze podwładnych Murawiewa, lub potomstwa jego towarzyszów.

Tak wyglądała ta uroczystość tryumfującej Rosyi.

Z zakątka Litwy przyjechałem, by przypatrzeć się obliczu Wilna w chwili, gdy panująca dzicz rzucała mu nową obelgę. Odjeżdzam pełen otuchy.

Widziałem w oczach niezłomną wytrwałość, widziałem rosnącą zawziętość wobec nieprzejednanego wroga, widziałem wzmocnione poczucie wewnętrznej łączności między mieszkańcami Litwy, prawnymi dziedzicami ujarzmionego i zniszczonego kraju.

Pomnik może stać — będzie szczepił nienawiść dla ciemiężców i przypominał obowiązki względem ojczyzny, może stać, bo istnieje wiara w przyszłość i nadzieja na tryumf prawdy, nie tej, którą minister Murawiew głosił. Patrząc na pomnik ludność tem silniej będzie pragnęła czasów, w których historyczne bydlę można będzie z piedestału strącić. *Litwin.*

Z CAŁEJ POLSKI.

Kilka uwag z powodu uroczystości Mickiewiczowskiej w Warszawie. Solidarność narodowa- Nieobecność Galicyan. Towarzystwo wykładów ludowych w Poznaniu. Uniwersytet ludowy imienia Adama Mickiewicza we Lwowie. Zacietrzewienie polityczne. Niefortunny koncept *Gazety opolskiej.*

Na uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie, stawili się w znacznej liczbie delegaci młodzieży polskiej, uczący się w uniwersytetach rosyjskich i zagranicznych. »Byli tam — powiada korespondent *Kuryera lwowskiego* — Litwini, Ukraińcy i Białorusini, nawet z Dzikich Pól od Morza Czarnego przyjechali niektórzy; byli też i z drugiego końca Rzeczypospolitej wysłańcy: Kaszuby, Prusy Wschodnie i Zachodnie, Śląsk pruski i austryacki, Poznań i Galicya miały swoich przedstawicieli«.

Ten zjazd młodzieży polskiej w Warszawie zaliczyć można do rezultatów dodatnich uroczystości. Poczciwa dusza, która ten fakt opisuje w *Kuryerze lwowskim*, z zadowoleniem zaznacza, że »nie mało nauczyliśmy się« (zapewne ludzie starsi) od nich o stanie oświaty, położeniu ekonomicznem« i t. d. Smutny jest stan polityczny społeczeństwa, w którem ludzie dojrzali role informatorów wyznaczają młodzieży nie mającej potemu odpowiednich warunków. W normalnym porządku rzeczy młodzież przeznaczoną jest raczej do działania, do prac wykonawczych, a informatorami jej bywają właśnie ludzi starsi, doświadczeni, którzy posiadają lub przynajmniej posiadać powinni wykształcenie polityczne i zasób potrzebnych wiadomości.

Ale mniejsza o to, lepiej że jaja są i chcą być mędrsze od kur, niż żeby u naszych starych kwok politycznych zasięgały rady i infor-

macyj Nie wiem, czy będzie, a jeżeli będzie — to jaki pożytek praktyczny z tego zjazdu, na którym, jak to zwykle bywa, »sformułowano kilkanaście postulatów i zainicyowano niektóre działania«, systematycznie podzielone na legalne i nielegalne, i »uwzględniono najpilniejsze potrzeby Litwy, Ślązka, Kaszubów«. Czasem z tych śmiałych i trochę naiwnych przedsięwzięć młodzieńczych wyrasta wielkie dzieło, czasem nie pozostawiają one po sobie żadnego śladu, przemijają rychło bez wyniku realnego. Ale uroczystość warszawska niechybnie pozostawi ślad w młodych sercach i umysłach. Zaroniła ona w dusze iskrę, która »jedna tylko jest w człowieku, raz tylko w młodocianym zapala się wieku«, iskrę, która, jeżeli jej rozmyślnie nie stłumimy, zapłonie jasnem światłem świadomej jedności myśli i uczuć, solidarności wszechpolskiej. Ci młodzi przedstawiciele różnych dzielnic Polski zaczynają poznawać się coraz lepiej i łączyć w robocie wspólnej na użytek publiczny. Gdyby nawet robota ta zawiodła zupełnie pokładane w niej nadzieje, zbliży ona ludzi, których warunki życia politycznego rozdzielają, zapozna ich z tymi właśnie warunkami i w pewnej mierze nauczy je zwalczać, rozszerzy pogląd na sprawę narodową, ułatwi objęcie jej całokształtu.

Odosobnienie prowincyonalne, wciąż wzrastające, jest w naszem życiu politycznem objawem groźnym. Mamy już dziś trzy Polski i potrójnych Polaków, nie licząc drobniejszych odmian typu narodowego. Nietylko sprawie narodowej w ogólnem jej pojęciu to wyodrębnianie się szkodzi, ale i na życie duchowe i polityczne każdej dzielnicy zgubny wpływ wywiera.

Wytwarza się coraz większa zaściankowość pojęć, zadania życia publicznego drobią się i karleją, zanika zdolność obejmowania szerszych widnokręgów.

Brak poczucia jedności narodowej najbardziej widoczny jest w Galicyi, chociaż tu najwięcej może o tej jedności się mówi. Zaznaczaliśmy w piśmie naszem niejednokrotnie fakt i staraliśmy się wyjaśnić przyczyny tego partykularyzmu galicyjskiego. Na uroczystości warszawskiej nie było prawie wcale przedstawicieli inteligencyi galicyjskiej, nie było ani jednego człowieka, zajmującego wybitne stanowisko polityczne, nie było nawet literatów, z wyjątkiem poety Kasprowicza, który zresztą jest rodem z Poznańskiego. Z zaboru pruskiego przyjechało kilku redaktorów pism ludowych, z dzienników zaś galicyjskich tylko dwa: *Kuryer lwowski* i, zdaje się, *Głos narodu* wysłały specyalnych sprawozdawców. Kilku emigrantów z Królestwa, bez względu na grożące im niebezpieczeństwo, przybyło do Warszawy na uroczystość pod cudzemi nazwiskami, ale z inteligencyi, prawdziwie galicyjskiej, głośno i dużo o patryotyzmie rozprawiającej, nikt nie pojechał, chociaż nietylko na niebez-

pieczeństwo. ale nawet na przykrość nie mógł być narażony. Dzienniki nie postarały się nawet o sprawozdania dokładne z przebiegu uroczystości i brały je z drugiej ręki, t. j. z tych pism, które miały korespondentów. Ze Lwowa wysłano kilkanaście telegramów, głównie dzięki zabiegom paru osób, z Krakowa nie było ani jednego telegramu, (właściwie był jeden od redakcyi *Polaka*, ale cenzura go nie puściła.)

Chłopi zjechali sie do Warszawy w liczbie 400 z górą ze wszystkich stron Polski, nawet ze Żmudzi, Białej Rusi i Wołynia, rzemieślnicy przyjechali z dalszych nawet stron — z Kazania, Moskwy, Odessy. Przybyli sporą gromadką Ślązacy i garstka chłopów z Galicyi. Ale z galicyjskich posłów ludowych ani jeden do Warszawy nie pojechał. Nieobecność ich przykre zrobiła wrażenie w kołach, które robotę wśród ludu w zaborze rosyjskim prowadzą. Wiele się po nich spodziewano i istonie wiele by zrobić mogli, sądząc z wrażenia, jakie wywierały na włościan miejscowych mowy, wygłaszane np. przez braci z zaboru pruskiego. I oni sami w Warszawie dużo skorzystać by mogli. Widocznie nie drgnęło w nich w tej chwili serce polskie, a raczej nie dojrzała jeszcze w ich głowach świadomość tego, że ciąży na nich obowiązek być w podobnych wypadkach przedstawicielami całego ludu polskiego, że to obowiązek stokroć ważniejszy, niż obrona drobnych interesów wyborców, którzy ich do sejmu posłali.

Żadne tłomaczenia nie usprawiedliwią tego zaniedbania obowiązku narodowego. Chociażby nawet nie zapraszano ich i nie zachęcano, powinni byli pojechać z własnej inicyatywy i zająć należne im miejsce na uroczystości narodowej. Każdy Polak wszędzie w Polsce jest u siebie w domu, a tymbardziej przedstawiciele jawni ludu polskiego mają prawo powiedzieć to o sobie. Ale, przeciwnie, wzywano ich do Warszawy, przypominano im, że przyjechać powinni, więc albo przyjechać nie chcieli, albo się obawiali

Istotnie, obawa zgoła nieuzasadniona powstrzymała z pewnością wielu Galicyan od udziału w uroczystości warszawskiej. Jedni bali się moskiewskich żandarmów, drudzy bali się zaszkodzić obecnością swoją braciom w Królestwie, innych wreszcie zbałamuciły artykuły dziennikarskie w rodzaju niedorzecznej korespondencyi, zamieszczonej w *Słowie polskiem*, zapowiadającej, że publiczność warszawska wstrzyma się od udziału w obchodzie. Socyaliści urządzili przynajmniej efektowną manifestacyę w Krakowie, patryoci galicyjscy nawet na podobny pomysł zdobyć się nie umieli.

Ażeby skończyć już z tą sprawą, zaznaczyć trzeba, że jest jedna okoliczność nie usprawiedliwiająca wprawdzie, ale wyjaśniająca po-

wściągliwość inteligencyi galicyjskiej w sprawie uroczystości warszawskiej. W chwili rozkwitu polityki ugodowej Galicyę wciąż odwiedzali emisaryusze lojalistów petersburskich i warszawskich i do spółki z miejscowymi swymi agentami przekonywali dziennikarzy lwowskich i krakowskich, ba, nawet zaklinali ich w imię sprawy narodowej, żeby jak najmniej pisali o stosunkach zaboru rosyjskiego i nie przeszkadzali akcyi pojednawczej. Te rady łatwo się przyjęły na gruncie partykularyzmu galicyjskiego. Tutejsi politycy, zwłaszcza młodsi, bez różnicy stronnictw, do których należą, nie mają pojęcia o całokształcie sprawy polskiej, a zwłaszcza o sprawach zaboru rosyjskiego. Nie znając i nie rozumiejąc tych spraw, nie zdolni są zajmować się niemi żywo. Sami tego nie czują, że są już po prostu Galicyanami, lub nawet Austryakami, mowiącymi po polsku i tylko najlepsi pozostali uczuciowo Polakami. Ograniczanie działalności politycznej sferą praktycznych interesów i zacietrzewienie się w wyłączności stronniczej wywołać muszą stopniowy zanik zdolności pojmowania i nawet odczuwania zadań ogólnonarodowych i spraw innych dzielnic.

Zasługuje wszakże na uwagę znamienny fakt, że poczucie solidardarności narodowej jest najsilniejszem w uświadomionych politycznie jednostkach z ludu, a najsłabszem wśród t. zw. demokratyczno-liberalnej inteligencyi, która do niedawna jeszcze miała monopol patryotyzmu polskiego w Galicyi. Inny jeszcze fakt zaznaczyć tu należy, że aspiracye ogólno-polskie, ma się rozumieć w zakresie ciasnym dążeń i interesów partyjnych, najwyraźniej występują w działalności dwóch stronnictw, stojących na przeciwnych biegunach i pomawianych z innych względów o kosmopolityzm — w działalności stańczyków i socyalistów. I jedni i drudzy utrzymują lub starają się utrzymać ścisłą łączność ze swymi współwyznawcami politycznymi w innych dzielnicach.

Setną rocznicę urodzin Mickiewicza uczczono w zaborze pruskim założeniem »Towarzystwa bezpłatnych wykładów naukowych dla ludu imienia Adama Mickiewicza«. Myśl założenia podobnej organizacyi pod nazwą »ludowa uniwersytecka drużyna«, poruszył już dawniej *Goniec wielkopolski*, obecnie podjęli ją i urzeczywistnili przedstawiciele t. zw. »Młodej Polski«, inaczej mówiąc młodszego pokolenia inteligencyi demokratycznej, p. p. Bernard Chrzanowski, dr. Antoni Chłapowski, dr. Krysiewicz, dr. Szuman i redaktor odmłodzonego *Gońca* p. Joachim Sołtys. Założyciele są zarazem pierwszymi prelegentami i zapowiedzieli szereg wykładów z historyi i literatury, nauk społecznych, nauk przyrodniczych i hygieny. Ustawa nowego towarzystwa ma trzy tylko paragrafy, które tu przytaczamy:

§. 1. Celem towarzystwa jest szerzenie oświaty w granicach rzeszy niemieckiej za pomocą bezpłatnych naukowych wykładów dla ludu.

§. 2. Członkowie towarzystwa płacą najmniej 1 markę rocznej składki.

§. 3. Sprawami towarzystwa zarządza Wydział, składający się z pięciu członków, a uzupełniający się w razie ubytku sposobem kooptacyi.

Oprócz urządzenia systematycznych wykładów towarzystwo zamierza dostarczać odczytów i nawet prelegentów towarzystwom ludowym na całym obszarze zaboru pruskiego.

Nie trzeba chyba wykazywać doniosłości i użyteczności zadań nowego towarzystwa W zaborze pruskim podniesienie poziomu oświaty ludu jest sprawą nietylko bardzo ważną, ale i bardzo pilną. Stosunki społeczne tak się tam ułożyły, że zadanie prowadzenia sprawy narodowej lud sam na swoje barki wziąć musi.

Są prowincye, np. Górny Ślązk w których niema wcale polskich klas wyższych, a inteligencya z ludu dopiero wytwarzać się zaczyna; są inne, jak Mazowsze pruskie, gdzie jednostki inteligentne, przyznające się do narodowości polskiej na palcach jednej ręki policzyć można. W Prusiech Zachodnich z każdym rokiem maleje szczupła już liczba szlachty polskiej, w Poznańskiem ten sam proces się odbywa. Inteligencyi mieszczańskiej, oprócz zawodowej, nie ma prawie wcale. To, co się nazywa w zaborze pruskim stanem średnim, jest właściwie klasą drobnomieszczańską, złożoną z przemysłowców (rzemieślników) i kupców, poziomem oświaty nie wiele różniącą się od ludu.

Ta klasa średnia, drobno-mieszczańska i lud miejski i wiejski stanowią dziś główną, powiedziałbym jedyną siłę polityczną narodowości polskiej w zaborze pruskim. Podniesienie poziomu oświaty, a więc i świadomości społecznej i narodowej tych warstw jest dziś zadaniem najważniejszem, muszą one bowiem nietylko występować samodzielnie w życiu publicznem, ale powinny same ująć ster jego, nadawać mu kierunek.

Niejednokrotnie zaznaczano upadek życia umysłowego w zaborze pruskim i smutne następstwa tego faktu. Otóż upadek życia umysłowego nie jest bynajmniej wynikiem wyjałowienia sił duchowych narodowości polskiej w tej dzielnicy, ale przeważnie następstwem przeobrażania się stosunków społecznych. Warstwa inteligentna, mająca tradycyę i kulturę umysłową, zmniejsza się liczebnie, natomiast wytwarzać się dopiero zaczyna nowa warstwa, która potrzebę życia umysłowego słabo jeszcze odczuwa. Więc wszelka działalność, która poczucie tej potrzeby budzi i umacnia, jest wielce pożyteczną dla sprawy narodowej. Nie

znam dokładnie z dłuższej obserwacyi osobistej stosunków w zaborze pruskim, zauważyłem jednak zarówno na Slązku pruskim, jak austryackim, że ludzie, którzy zaczynają mieć pewne aspiracye do życia umysłowego, szukają zaspokojenia ich w piśmiennictwie niemieckiem i w ogóle w kulturze niemieckiej. Prasa ludowa w zaborze pruskim ma charakter niemal wyłącznie polityczny, zresztą stosuje się ona do wymagań czytelników, stojących na bardzo nizkim poziomie oświaty. To stanowi właśnie jej zasługę największą i jej zadanie. Ale nawet dla celów politycznych i społecznych, szerzej pojętych, uświadamianie polityczne i społeczne ludu za pomocą pism popularnych nie wystarcza. Uświadomionym należycie, t. j. samodzielnie myślącym i działającym może być tylko człowiek, posiadający pewien zasób wiadomości, który mu pozwala oceniać krytycznie rzeczy i stosunki. Wykłady i odczyty, zwłaszcza planowo i systematycznie zorganizowane, najlepiej odpowiedzieć mogą zadaniu wyrabiania samodzielności umysłowej i, co za tem idzie — społecznej i politycznej mas ludowych.

W miarę sił i środków »Towarzystwo wykładów ludowych imienia Mickiewicza« zakreślone sobie zadanie spełniać zamierza. Ale i siły intelektualne i środki materyalne, którymi rozporządza nie wystarczą na prowadzenie sprawy w takim zakresie, w jakim prowadzoną być powinna. Towarzystwo powinno być poniekąd instytucyą centralną dla setek ludzi dobrej woli, »którzy dotychczas w pojedynkę pełnili czynności prelegentów i nauczycieli«, a więc dawać inicyatywę i pomoc materyalną, musi dostarczać odczytów, przyrządów, wysyłać prelegentów i t. d. Przedewszystkiem więc należy mu przysporzyć środków materyalnych. Ofiarność zaboru pruskiego, zaspakajająca tyle innych potrzeb publicznych równie ważnych, nowym wymaganiom nie podoła w tej mierze, która jest, zdaniem naszem, niezbędną dla rozwoju instytucyi w szerszym zakresie. Na inne dzielnice spada więc obowiązek popierania »Towarzystwa wykładów ludowych imienia Mickiewicza« w Poznaniu. Jest to obowiązek ze względu narodowych co najmniej równie ważny — właściwie z uwagi na doniosłość i zakres działania nowej instytucyi ważniejszy, niż popieranie instytucyi polskich na Slązku austryackim. Ale i jednemu i drugiemu i wielu jeszcze innym podołamy, jeżeli szczerze myślić będziemy o ich spełnianiu.

Jednocześnie powstało we Lwowie »Towarzystwo uniwersytetu ludowego imienia Adama Mickiewicza«. Inicyatywę założenia tej instytucyi, której statuty niedawno zostały przez władzę zatwierdzone, dało towarzystwo młodzieży p. n. »Zjednoczenie«, mające barwę postępową a nawet radykalną. W Galicyi, gdzie wszelka działalność publiczna musi mieć cechę nietylko polityczną, ale wyraźnie partyjną, zazna-

czona wyżej okoliczność wystarcza do usunięcia się wielu ludzi od popierania towarzystwa, którego zadania uznają w zasadzie za użyteczne. Taka taktyka jest zawsze niewłaściwą, a tymbardziej w danym wypadku. Najprzód nie ma słusznego powodu podejrzywać założycieli towarzystwa, między którymi są zresztą ludzie różnych przekonań, o zamiar prowadzenia za pomocą uniwersytetu ludowego propagandy partyjnej, chociażby dlatego, że podobny zamiar odrazu wykoleił by instytucyę z właściwego toru i utrudniłby, a raczej nawet uniemożliwił by jej rozwój. Powtóre, niewątpimy, że każdy, kto wykaże odpowiednie kwalifikacye na prelegenta, będzie chętnie przyjęty. Wreszcie każdy, kto złożył drobną kwotę 50 centów, może zostać członkiem towarzystwa, każdy więc może wpływać pośrednio na jego działalność, chociażby za pomocą wyboru do zarządu ludzi odpowiednich, dających rękojmię poważnego i energicznego prowadzenia sprawy i pojmowania właściwych zadań wszechnic ludowych.

Nie chciałbym, żeby mię mylnie zrozumiano i posądzano o zalecanie dosyć często praktykowanego w Galicyi manewru, który polega na opanowywaniu kierownictwa instytucyi za pomocą werbowania masowego członków, należących do pewnego stronnictwa lub koteryi i posłusznych wskazówkom, dawanym im z góry. Uniwersytet ludowy nie powinien mieć nic wspólnego ze stronnictwami politycznemi. Dla tego zdaniem mojem, nieszczególną przysługę oddał nowo-powstającej instytucyi socyalistyczny *Naprzód*, radząc jej właściwie nawet kategorycznie zalecając, żeby w działalności swej oparła się na stronnictwach opozycyjnych. To się nazywa w przekonaniu niektórych ludzi »szerokiem postawieniem sprawy«, dlatego, że jest mowa nie o jednem stronnictwie, ale wogóle o stronnictwach opozycyjnych, w gruncie rzeczy jednak rada *Naprzodu* jest poprostu objawem grasującej w Galicyi kołowacizny politycznej, objawem, niestety, bardzo pospolitego kołtuństwa radykalnego.

Gazeta opolska wzywa posłów polskich z Górnego Ślązka, żeby postawili w parlamencie następujący wniosek, który, zdaniem jej poprą posłowie polscy:

»Zważywszy, że warunki zarobkowe w Niemczech w ogólności a dla Polaków wskutek agitacyi wielkoniemieckiej w szczególności, stają się coraz trudniejszymi;

»zważywszy natomiast, że dobrobyt Polaków w Rosyi stale rośnie że nie napotykają tam oni żadnych przeszkód w spełnianiu zadań kulturnych;

»zważywszy, że w myśl pokojowych zamiarów cesarza rosyjskiego zbliżenie się narodów ułatwiać należy;

zaleca się, aby w gimnazyach prowincyi wschodnich Prus zaprowadzono naukę języka rosyjskiego, przynajmniej w tych rozmiarach, w jakich uczą języka angielskiego«.

Wybryk polityczny zastępcy redaktora *Gazety opolskiej* p Raszewskiego należałoby surowo potępić, gdyby nie był on objawem naiwności i łatwowierności niezwykłej. Motywowanie wniosku jest po prostu niedorzecznem. Punkt pierwszy każe domyślać się, że ponieważ warunki zarobkowania są w Niemczech ciężkie, więc Polacy są zmuszeni szukać pracy w państwie rosyjskiem. Tymczasem z Królestwa dziesięć razy więcej ludzi szuka zarobku w Niemczech, niż robotników z zaboru pruskiego w państwie rosyjskiem Ale p. Raszewski nietylko nie ma pojęcia o stosunkach ekonomicznych, również nie zna on stosunków politycznych. Człowiek, który był w Warszawie na uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza i stykał się z ludźmi, prowadzącymi robotę kulturalną wśród ludu, mówiąc, że »Polacy w Rosyi nie napotykają żadnych przeszkód w spełnianiu zadań kulturalnych«, albo bezczelnie kłamie, czego w danym wypadku nie przypuszczamy, albo jest obserwatorem nieudolnym, albo, co najprawdopodobniejsze, naiwnym politykiem, który sądzi, że wymyślił dowcipny sposób zastraszenia Niemców, lub którego udało się zdurzyć jakiemuś bankrutowi ugodowemu w Warszawie. Projekt straszenia Niemców sympatyami rusofilskiemi Polaków ma wśród inteligencyi zaboru pruskiego wielu zwolenników. Pomijam to, że ubliża on naszej godności narodowej i świadczy o braku wiary w siłę własną, ale podkreślam, że w dzisiejszych warunkach nie ma wcale podstawy realnej. Wówczas, gdy *Dziennik poznański* i *Dziennik kujawski* o podobnym wniosku pisały, miał on przynajmniej jakieś uzasadnienie, bo politycy ugodowi w zaborze rosyjskim łudzili się sami i łudzili społeczeństwo nadzieją uregulowania stosunku Polaków do Rosyi. Dziś, gdy w Berlinie doskonale wiedzą, że polityka ugodowa zbankrutowała, wskutek tego, że rząd rosyjski nie myślał i nie myśli o daniu Polakom jakichkolwiek ustępstw, postawienie w parlamencie zalecanego przez *Gazetę opolską* wniosku byłoby lekkomyślnem wyzywaniem rządu pruskiego i opinii publicznej niemieckiej. Nie jesteśmy wielbicielami polityki Koła polskiego w Berlinie i polityków, którzy do niego należą, ale obelgą dla nich byłoby przypuszczenie, że taki niedorzeczny i bezcelowy wniosek poprą. Ów koncept wylągł się chyba w głowie jakiegoś lojalisty warszawskiego, jako rozpaczliwa próba przekonania rządu rosyjskiego, że politycy ugodowi coś jednak dla interesów Rosyi zrobić mogą, a w naiwnego kierownika *Gazety opolskiej* podczas pobytu jego w Warszawie wmówiono, że wezwanie, które wyżej przytoczyliśmy, będzie zręcznym manewrem dyplomatycznym.

Warszawiacy zresztą lubią figle i może poprostu zadrwił ktoś z p. Raszewskiego, podsuwając, mu myśl wystąpienia z podobnym wnioskiem. Szkoda, że p. zastępca nie poczekał na wypuszczenie z więzienia p, Koraszewskiego, co wkrótce nastąpi, bo uchroniłby pismo i siebie samego od kompromitacyi.

J. L. Jastrzębiec.

LISTY WARSZAWSKIE.

I.

Magna testantur voce per umbras! Wielkim się klęli głosem na cień zmarłego! Kto? Wszyscy. O, gdyby choć drobna część tylko tych wzruszeń, frazesów i przysiąg, które wywołane zostały ostatnią uroczystością Mickiewiczowską w Warszawie, mogła przejść w sferę czynu — zaiste, zatrzymałyby się ruchy moskiewskiej maszyny państwowej, ale dopiero historya osądzi, co było wiatrem, który przemija, a co posiewem życiodajnym, który tworzy nowe żywioły bytu. Bez tego warunku, bez zdobycia perspektywy dziejowej, która jedna tylko zabezpiecza sąd od spaczenia, niepodobna z zupełną dokładnością stwierdzić, na czem polega ważność „dni grudniowych“, t. j. dni najbliższych odsłonięcia pomnika — poprzedzających i następnych. Nikomu nie jest tajnem, że dni te stanowią nie byle jaką chwilę w naszem życiu politycznem, ale mało kto zdaje sobie sprawę, zkąd się wzięła owa doniosłość i gdzie spoczywa jej punkt ciężkości. Mniemam, że trzeba będzie go poszukać, a że jest to zadanie, nie, tylko gwoli zaspokojenia ciekawości przedsiębrane i potrzebne, chyba zbyteczna dowodzić.

Ale przedewszystkiem potrzeba faktów. Czytelnik wybaczy, że niezupełnie stanie się jego ciekawości zadość. Są rzeczy bardzo szczytne i bardzo godne ujawnienia, które jednak boją się ciężkiej ręki żandarma i muszą pozostać bezimiennemi i ukrytemi. Natomiast to, co może być odsłoniętem, raczej, co powinno być odsłoniętem, wydostanie się na światło dzienne, aby samo sobą świadczyło o postawie rządu moskiewskiego, o nastroju chwili, zasługach jednostek, stanowisku stronnictw, natężeniu energii politycznej i narodowej ogółu.

*
* *

Próbowano tłomaczyć rodowód projektu pomnika w ten sposób, że takie uczcenie pamięci Mickiewicza stało w szeregu najważniejszych życzeń i żądań narodowych, wystosowanych do rządu w bała-

mutnej erze z przed dwu lat, kiedy to różne drobne i grube rybki naszej stańczykieryi rozpoczęły jakóbowy targ o soczewicę. Nic fałszywszego od tego poglądu. Pomnika nikt nie wysuwał, jako naczelnego postulatu życia narodowego, i wogóle na razie nikt nie przywiązywał do niego zbyt wielkiej wagi. Projekt sam, jak wiele innych, wysunął się naturalnym biegiem rzeczy, w obliczu setnej rocznicy, z organu demokratycznego, *Głosu*, bardzo gorliwie zajmującego się do tego czasu przekonywaniem czytelników, że tylko samorząd może być — o ileby społeczeństwo odpowiednią postawę zajęło i niedwuznacznie o niego się dopominało — istotną zdobyczą polityczną. Inna rzecz, że Imeretyński sprawę tę w lot pochwycił, przeniknął i do interesów swoich przystosował. Niepodobna zaprzeczyć, że idea pomnika przydała mu się bardzo do skaptowania opinii publicznej, którą potrzebował mieć za sobą, którą musiał skokietować, kto wie, czy nie za grubszą cenę, niż ta, jakiej zażądano. *Przegląd Wszechpolski* kilkakrotnie i szeroko o sprawę tę potrącał, między innemi w nr. 24 z r. z., dlatego nie potrzebuję się nad nią dłużej rozwodzić. Chwila była poważna: oto za kilka miesięcy ma się zjawić car we własnej osobie, aby pokazać Europie, jak jest miłościw, jak jest umiłowan, jaki wielki spokój panuje w kraju, aby dowieść, że burza ucichła na zawsze, pożar ugaszono, maszty złamane powiązano, dziury połatano. Trzeba było nie tylko uspokoić świat, trzeba było go zdumieć, rozczulić. A no, niełatwe to zadanie u nas, gdzie poza garścią trębaczów i fajfrów ugodowych całe społeczeństwo jest podminowane niezadowoleniem i nienawiścią, płynącą z gruntownie i nieubłaganie obrażonych uczuć narodowych i obywatelskich.

Trzeba dobrze znać górne sfery naszego społeczeństwa, ażeby umieć w całej ścisłości ocenić, jak dalece żyją one w okropnem złudzeniu, że „ulgi“ i „ustępstwa“ zależne są od postawy społeczeństwa pokornej i cichej, jak dalece rozpanoszyły się tam: rachowanie na przypadek, na łaskę pańską, na wyzysk cudzej pracy, zdążanie po drodze najmniejszych wysiłków, mniej lub więcej przyzwoita żebranina. Na ich to głównie współudział rachował Imeretyński, kiedy aranżował „entuzyastyczne“ przyjęcie pary carskiej w Warszawie. Jeżeli „ożywczego strumyka“ — t. j. menerów ugodowych nie potrzeba było brać na żadne lepy, bo oni się entuzyazmowali dla samego sportu, natomiast trudniejsza była sprawa z resztą spokojnych, ale jednak nieufnych obywateli, różnego drobiazgu przemysłowego i mosterdziejów szlacheckich. Dla ostatnich przedsięwziętą została znakomitej pamięci podróż po kraju księcia i miłościwe wysłuchiwanie próśb, żądań i przypomnień miejscowego obywatelstwa; dla pierw-

szych zabrakło konceptu i gdyby nie pomnik, nie stałoby go do końca. Aliści trafiła się dobra myśl i przyjętą została przychylnie. Mniemano, że tanim kosztem wykpić się będzie można z zagadkowego i niepewnego położenia.

Ihr habt mich verstanden,
Ich verstand euch,

zanucił wedle starej nuty książe i sprawę pomnika raźnie jął popierać aż do ostatecznego podpisu carskiego. Oto gdzie szukać należy jedynej i ostatecznej przyczyny udzielenia przyzwolenia na pomnik w epoce, kiedy rządowi rosyjskiemu — jak to następny bieg wypadków i zdemaskowane zupełnie oblicze Imeretyńskiego wskazują — ani się śniło o żadnych istotnych i trwałych ulgach, kiedy raczej obmyślał nowe środki dławienia narodu polskiego.

W każdych innych okolicznościach wybór komitetu stanowi sprawę drugorzędną i byle tylko weszły do niego osoby uczciwe, energiczne i rozumne, można się nieinteresować ich przekonaniami politycznemi. U nas zaś, gdzie stosunek z rządem jest drażliwy w najwyższym stopniu, wymaga taktu i zupełnie ustalonych opinii politycznych, trzeba się bardzo starannie dopytywać o legitymacye polityczne ludzi, mających wypełnić jakąś służbę polityczną, aby nie przekroczyli owej szerokiej i jedynej drogi, poza którą niemasz dla Polaka nic ponad ślizkie i zgoła zgubne wertepy. Trzeba przyznać, że skład komitetu budowy pomnika, wybrany przez Imeretyńskiego z 24 osób, przedstawionych mu przez Michała Radziwiłła, nie zachwycił nikogo, a już zupełnie podrażniła się opinia publiczna na wieść, że prezesem komitetu mianowany został ów Michał Radziwiłł, denuncyant i szachraj polityczny, który jest obecnie najbardziej znienawidzonem indywiduum w Królestwie. Na szczęście, komitet odrazu zaznaczył swą działalność krokiem taktownym, (a należy pamiętać, że było tam parę jednostek, posiadających zasłużenie całkowite zaufanie Warszawy), bo w zręcznie ułożonej odezwie podał do wiadomości o swem ukonstytuowaniu się pod przewodnictwem wiceprezesa komitetu H. Sienkiewicza i „mianowanego z urzędu“ ks. M. Radziwiłła. Nie było odtąd tajnem, jakiem okiem patrzą koledzy z komitetu na półgłówka, który, przekręciwszy inwokacyę poety „z szlachtą polską polski lud“, chciał z moskiewskim rządem rozpocząć kiełznanie ludu najkrańcowszym klerykalizmem, aby zabić w nim wszelkie instynkty niezależności. Cały bieg czynności komitetu, które — prowadzone przez paru ludzi umiejętnie i sprężyście — szczęśliwie doprowadziły rzecz do końca, należy właściwie do kroniki dziennikarskiej, którą *Przegląd* w miarę potrzeby wypełniał. My na-

tomiast musimy zanotować *ad aeternam rei momoriam* parę szczegółów, które nie powinny być ukrytymi, dopóki opinia publiczna ma jakąkolwiek wartość i, wsparta doświadczeniem, może zapobiegać niewłaściwym albo i zgoła szkodliwym sposobom prowadzenia rzeczy publicznych.

W pierwszych chwilach działalności komitetu zapanowała między nim a Imeretyńskim taka *entente cordiale*, iż wzajemnie prześcigano się w uprzejmościach. Zapewne nie pomylę się, mówiąc, że taki kierunek rzeczy faktycznie ubezwładnił w pewnym stopniu komitet i nadał mu charakter, którego nie powinien był mieć, którego nie powinien był pozwolić sobie narzucić. Komitet, nie formalnie rzeczy biorąc, nie był powołany jedynie do postawienia pomnika Mickiewiczowi; naród chciał, żeby uroczystość odsłonięcia jego wypadła jaknajwspanialej i pod tym względem bardzo rachował na komitet. Zawiódł się srodze. Można było z góry oczekiwać, iż ciało, złożone *w ogromnej większości* z członków nadgniłych, nie będzie zbyt sprawnie funkcyonowało, nie potrafi opierać się dość uparcie naciskowi zewnętrznemu, atoli bezwładność komitetu w stosunku do Imeretyńskiego przeszła granice dozwolonej pobłażliwości. Prawdę mówiąc, rola tych panów z chwilą, kiedy Imeretyński spostrzegł, na jaką to grę pozwolił, stała się trudną i drażliwą. Ciągłe negocyacye zobopólne — bo przy najmniejszym drobiazgu trzeba się było opierać o Zamek — nieustanne targi o byle odezwę, o byle zawiadomienie ogółu co do stanu robót, wymagały nietylko dostatecznego zdrowia nerwów, ale i szczególnej baczności, by nie wpaść w samotrzask, zastawiony przez chytrego Moskala. To też nie dotrzymano mu placu w wytrwałości i ugięto się w sprawie, która nie znosiła kompromisu. Zamiast, żeby ustąpić przed ukończeniem pomnika, rozwiązać się w chwili, kiedy żądane ustępstwa przekraczały miarę dozwoloną, coby z jednej strony wywołało wielkie wrażenie w całym kraju, dowiodło, że rządowi moskiewskiemu nigdy i nigdzie nie można dowierzać, dało miarę perfidyi Imeretyńskiego — z drugiej pouczyło ostatniego i Petersburg o nastroju opinii i mocy zasad, przez nią bronionych — ustępowano krok za krokiem przed natarciem, godząc się na wszystkie ograniczenia, dyktowane przez niego w chwilach ogarniającej go trwogi przed rewolucyjnymi żywiołami. Co więcej! Komitet o mało nie przyłożył ręki do głębokiego obrażenia naszych uczuć narodowych i etycznych, i w następstwie do wywołania możliwych zaburzeń w Warszawie, tworząc i akceptując wstrętny poprostu program uroczystości odsłonięcia pomnika. Inaczej bowiem nazwać nie można propozycyi wysłuchania przez naród mowy Michała Radziwiłła, inaczej nie go-

dzi się nazwać pomysłu puszczania publiczności za biletami itd. itd. I Bóg wie, na czem by skończył komitet swą działalność patryotyczną, gdyby nie energiczna reakcya paru członków, poparta mocno przez demokratyczne koła warszawskie. Dzięki jej zdobyto się na wytłomaczenie Imeretyńskiemu, iż wszelka wyraźniejsza rola Radziwiłła przy odsłonięciu zagraża stanowczo porządkowi publicznemu — rozdrażnienie bowiem przeciwko temu panu przybrało rozmiary stosunkowo do kiepskiego temperamentu warszawiaków nadzwyczajne — dzięki jej zdołano wpoić we władze przekonanie, iż nie może być mowy o wyrażaniu przy tej okazyi jakichkolwiek uczuć wiernopoddańczych, wdzięczności itp., bo to są frazesy, których żaden uczciwy Polak nie wysłucha spokojnie.

Ale strach, jakiemu ulegał Imeretyński i cała tutejsza kolonia moskiewska, udzielił się i komitetowi. Nikt tu nie może większej od niego mieć zasługi w rozsiewaniu przeróżnych pogłosek terrorystycznych, osnutych około „przygotowania się Imeretyńskiego na wszystko“, uzbrojenia wojska na wypadek zaburzeń, przeniknięcia przez policyę wszelkich organizacyi zjazdów itp. itp. Trzeba to wypowiedzieć szczerze: komitet był niestrudzony w wynajdywaniu pogróżek, pogłosek, plotek, które miały na celu powstrzymanie publiczności od gorętszego wyrazu uczuć patryotycznych i *od robót politycznych*, jakie mogły i powinny były być teraz przedsięwzięte. Wytłomaczę się później wyraźniej, co pod tym wyrazem rozumiem, bo teraz czas nam już skończyć z komitetem. Otóż powiem ostatecznie, iż nikt nie wymagał od niego objęcia kierownictwa jakiejś akcyi narodowej czy politycznej, bo to pewna, iż pod takimi wodzami niktby nie poszedł, ale uważam za obowiązek napiętnować to, iż skorzystano ze swego czasowo wyjątkowego stanowiska, aby terroryzować opinię publiczną i ubezwładniać szerszą robotę w organizowaniu nietylko żywszych objawów uczuć w czasie samej uroczystości, jako to np. składanie kwiatów i wieńców, nadsyłanie depesz, ale i bezpośrednio niedotyczących jej zjazdów ludzi z różnych stron dla uczczenia chwili i porozumienia się. Naturalnie, że ogarnięci takim strachem i zapatrzeni daleko więcej w sam spiż, niż w chwilę patryotyczną. która się z nim skojarzyła, członkowie komitetu nie pomyśleli o zażądaniu od Imeretyńskiego prawa składania wieńców i kwiatów, ogłaszania treści depesz, przyjmowania deputacyi. Stało się to w części później samo przez się, siłą naporu ogółu i faktów, które *nolens, volens* rząd musiał zaakceptować, nie chcąc wywoływać zatargów w chwili, kiedy z Europy patrzono na Warszawę, a i korespondentów zagranicznych można było mieć za świadków — ale zawczasu bodaj

że nie poruszano tej sprawy. A szkoda, bo uroczystość byłaby wiele wspanialsza i dałaby więcej nam samym, obcej opinii i wrogom naszym do myślenia.

Tak więc komitet, który wybornie poprowadził techniczną sprawę pomnika, okazał jednocześnie, że nie umie myśleć politycznie. Zbrodni nie popełnił, uczuć narodowych nie obraził, sprawy polskiej nie utopił, ale niedość jej bronił, nie wyzyskał chwili. Słabość bliźnich zwiększa zaufanie w nas samych. Doskonale to stosuje się do warunków obecnych,kiedy z każdem ustępstwem komitetu zwiększała się moskiewska natarczywość i pewność siebie.

Potrącałem już kilkakrotnie o stanowisko rządu względem sprawy pomnikowej. Nie wymaga ono bliższych tłumaczeń, bo wpływa logicznie z ogólnych przesłanek, na jakich opiera się polityka carska u nas, chodzi więc tylko o dane faktyczne. Następujący dokumencik da zaledwie w drobnej części miarę, jak zmora Mickiewiczowska mąciła Moskalom spokój ducha:

M. O.
Warszawski Okręg Naukowy
Inspektor szkół m. Warszawy.
9 grudnia*) 1898 r.
Nr. 19.
m. Warszawa.

Sekretne.
Bardzo pilne.
Do pp zarządzających rządowymi i prywatnymi zakładami naukowymi, podległymi Inspekcyi szkół m. Warszawy.
• • • • • • • p. N... N...

Wskutek polecenia p. kuratora warszawskiego okręgu naukowego z dnia 8 (20) grudnia b. r. za nr. 237, mając na względzie ustanowione na 12 (24) grudnia odsłonięcie pomnika w Warszawie poety Mickiewicza, mam honor najuprzejmiej prosić panów zarządzających rządowymi i prywatnymi zakładami naukowymi o zwrócenie uwagi uczniów powierzonych im zakładów naukowych na rozporządzenie Ministeryum oświaty, zakomunikowane w okręgu 18 (30) grudnia 1886 za nr. 19.705, że uczący się, bez osobnego na to pozwolenia najbliższych zwierzchników, w żadnym wypadku nie mają prawa brać udziału w uroczystościach, mających charakter publiczny, i że w razie wykroczenia przeciwko temu rozporządzeniu będą natychmiast wydaleni z zakładu naukowego.

Inspektor szkół
Sawenkow.
Referent • • • • •

Wogóle rząd w całej sprawie pomnikowej zachowywał się niesłychanie głupio, bezczelnie, a niedołężnie. Prasie skneblowano usta i nie pozwolono nic pisać o Mickiewiczu i jego dobie przez całe półtora roku, *wywołując* tem konieczność posiłkowania się prasą zakordonową. Młodzież zasłaniano od widoku poety, odsłaniając przez to jego zasługi, jako *stronnika rewolucyi* i *namiętnego wroga Rosyi*.

---

*) starego stylu, według nowego 21 grudnia.

Włościanom odmawiano na dzień odsłonięcia paszportów, nadając tem samem nieposłusznym cechę konspirantów i ułatwiając pracę otwierania ludowi oczu. Chciano pobudzić naród do uczuć wdzięczności za pośrednictwem denuncyanta-szambelana, zapominając, że takie usta kalają nawet podejrzane sprawy. Wzbroniono wszelkich żywszych oznak czci dla poety, kompromitując się przed obcą opinią a uroczystości nadając ton pogrzebowy, ale chybiono celu i osiągnięto skutek przeciwny bo nikczemnym byłby ten, ktoby w dniu 24 grudnia nie zrozumiał nareszcie, co tu Polskę bezcześci, plugawi i poniewiera i co potrzeba ku obronie sprawy robić. Imeretyński widocznie nie umie się wdrażać w wypadki, które nie stały się jeszcze historyą, i całkiem traci głowę, kiedy ma zawilszy wypadek do rozwiązania. Tak się stało obecnie. Społeczeństwo nasze gryzie niecierpliwie wędzidło, ale nie umie się jeszcze organizować do walki (lubo ta umiejętność wzrasta coraz widoczniej), a już co do wybuchów gorętszych, to na nie bardzo brakuje nam temperamentu. Jesteśmy w epoce skupiania się wewnętrznego, co niemałe przyniesie owoce w przyszłości, ale teraz nie mamy jeszcze ani sił odpowiednich, ani uświadomionych zamiarów wybuchania na zewnątrz bez wyraźnego celu realnego.

Przenikliwy polityk, który pisze memoryały o „powierzonym sobie kraju“, powinien ten nastrój ludności zrozumieć i nie mordować siebie urojonem widmem rewolucyi. Nie powiem, żeby mej dumie narodowej nie pochlebiło to całodzienne maszerowanie w przeddzień odsłonięcia pomnika kilku pułków uzbrojonego wojska po ulicach Warszawy, to odgrażanie się, iż przy najmniejszym wybuchu będzie strzelanie i bombardowanie, to demonstrowanie swego pogotowia „na wszelki wypadek“, — bo mówiło o obawach Moskwy i nieufności nawet do najspokojniejszych żywiołów narodowych — ale to było wszystko arcygłupie i arcyniepolityczne. Ale Imeretyński niema już czasu na nowe kombinacye szachrajskie, bo mu całą mądrość polityczną przysłonił jeden wyraz, dyktowany doświadczeniem: nie dowierzaj! Nie dowierzaj ludziom, nie dowierzaj trupom, nie dowierzaj cieniom!... Masz słuszność, mości książe, nie dowierzaj nikomu. Naród może chwilowo zbłądzić, zatrzymać się, zawahać, obejrzeć, ale w gruncie rzeczy jest nieubłagany.

Czas teraz przyjrzeć się nastrojowi społeczeństwa, towarzyszącemu wielkiej rocznicy, zachowaniu się stronnictw politycznych tudzież stosunkowi obecnemu idei narodowej do idei politycznej. Bo nie dość jest czuć, nie dość konserwować ducha narodowego, marzyć o Polsce niepodległej i świetnej, ale trzeba działać, a to już jest polityka,

która nie zna u nas czasu i miejsca, bo jest wszędzie i zawsze na czasie i na miejscu. Barrére powiedział kiedyś, że w czasach rewolucyi jest jak w strefie gorącej, która nadaje gwałtowny popęd wegetacyi i skraca czas wzrostu i dojrzałości. Chwile takie, jakie przeżyliśmy trzy tygodnie temu, są poniekąd rewolucyjne: wyzwalają nowe siły i ułatwiają ich organizacyę. Jest to jakgdyby błyskawica, gwałtownie rozdzierająca chmury; pozwala ona dojrzeć się wzajemnie i policzyć. Z tej błyskawicy postanowiło skorzystać u nas stronnictwo demokratyczno-narodowe, stronnictwo, które nie lubuje się we frazesach (utrzymuję, że aż do przesady), i podjąć jeszcze szerszą, jeszcze żwawszą *organizacyę* czynnych sił narodowych, podgarniając pod swoje wpływy i zasady lud wiejski i rzemieślniczy. Inne stronnictwa zachowały się nieudolnie, niedołężnie, albo wprost głupio.

Stronnictwa polityczne w zaborze rosyjskim nie są zorganizowane porządnie i nigdy się ze sobą policzyć nie mogą, wszakże tym razem wszystkie osądziły, że chwila jest doniosła i warto się porozumieć. Tak więc łatwo było poznać różnostronne opinie naszego ogółu, politycznie myślącego i wywnioskować, kto tu naprawdę myśli o Polsce, a kto chce upiec pieczeń stronnictwa albo nawet i własną; kogo wreszcie targają własne przywidzenia, w spodlonej długoletniem uginaniem karku duszy łatwo wywoływane.

W pewnych sferach „inteligencyi“ warszawskiej, która robi opinię i znaczy w kraju dużo, a naprawdę we wszelkich sprawach politycznych jest, jak w garnku, i gubi się przy lada rozstajach, „dodatnie“ nawet „przyjemne“ wywarły wrażenie komunikaty *Kuryera Codziennego* i *Kuryera Warszawskiego*, ogłoszone na 6 dni przed odsłonięciem pomnika. Pierwsze z wymienionych pism, w ten sposób pojmuje uczczenie Mickiewicza (podkreślenia są nasze):

„Obowiązkiem naszym zjednoczyć się, gdy tego będzie potrzeba, we wspólnem usiłowaniu, aby żaden niewczesny wybryk czy objaw nie rzucił choćby najmniejszego cienia na uroczystość, która powinna pozostać uroczystością wielkiego Poety. **Mickiewicz nie był jakimś głośnym bohaterem czy wodzem narodu, dla którego potrzebne by były szumne owacye.**

„On był wieszczem. I jak cicho snuł wieszcze swe słowa, tak cichem a głębokiem powinno być uwielbienie dla niego.

„Nie miejsce więc przed pomnikiem jego na głośne objawy tego uwielbienia! Wiemy dobrze, że w całej Europie, podczas każdej uroczystości, wielu uczestników a szczególniej młodzież stara się o to, aby objawy czci przybrały formy jak najrealniejsze. **Bez głośnych okrzyków i szumnych owacyj lub innych oznak ze-**

wnętrznych nie pojmują uroczystości, bo sądzą, że w ten sposób tylko można zaświadczyć o przenikających ich uczuciach.

„Lecz młodzież nasza, lecz my wszyscy pojmujemy, że głębia naszych uczuć dla Poety, któremu wznosimy pomnik, najlepiej wyrazi się w tej niczem nie zamąconej ciszy i spokoju, które powinny być charakterystyką dnia stuletniej rocznicy urodzin Wielkiego poety.

„Nie potrzebujemy powtarzać tego naszej młodzieży, z której zawsze byliśmy dumni, bo ona doskonale pojmuje swój obowiązek i w swem własnem sercu znajdzie pobudkę, że tak a nie inaczej w dniu tym zachować się powinniśmy. Więcej powiemy, ona nie dopuści do żadnej niesforności, gdyby objawy jej gdzie bądź w dniu tym zauważyła.

„To jej i wspólne nas wszystkich zadanie.“

W objawianiu mądrości politycznej tego stylu nie pozwolił się wyprzedzić wydawca *Kur. Warszawskiego*. I on tegoż dnia występuje ze swym poglądem na bieg uroczystości i on wyraża mniemamanie, że najlepiej będzie, gdy

„Związani wspólnem uczuciem czci i miłości dla wieszcza, który ze wszystkich wielkich polskich poetów był ncjbardziej polskim poetą, — w uroczystej ciszy i w głębokiem skupieniu, staniemy dnia 24 grudnia na placu pomnika.

„Nie masz tu zgoła miejsca na taki lub inny wyraz uczuć jednostek. Byłby to rozdźwięk, zakłócający podniosłą harmonię chwili, tak dla nas drogiej. Nie jednostki lub grupy — lecz społeczeństwo całe, nie osoby — lecz „rodacy“ wznieśli pomnik Mickiewiczowi. Rodacy też — w takt czci powszechnej dla mocarza polskiego słowa, staną przed Jego pomnikiem.

„Żadnych oklasków, żadnych okrzyków, ani słów żadnych.

„Przed odsłonioną postacią bronzową poety odsłonią się nasze głowy, w cichej a spokojnej modlitwie serdecznej pamięci.

„W chwilach uroczystych najwymowniejszem słowem bywa milczenie, a cisza i spokój najpodnioślejszem uczucia objawem“.

Powiedzmy odrazu, iż gorliwość kuryerków przekroczyła granicę gorliwości policyi, która *nie sprzeciwiała się* „owacyom i innym oznakom zewnętrznym“ i nie tamowała składania kwiatów i wieńców, na które *Codzienny* nie pozwalał i o których *Warszawskiemu* ani się śniło.

Przytoczyłem ustępy dłuższe tych manifestów, bo one doskonale malują katechizm polityczny pewnego, dość znacznego odłamu ludzi,

którzy rozumieją, że trzeba coś robić, którzy chcą jakiejś akcyi, ale w gruncie rzeczy wszystkiego się boją, nic nie pojmują i plączą się przy pierwszym kroku. Od ugody odżegnują się, jak ksiądz od dyabła, ale nie pojmują, że druga część dylematu polskiego brzmi: walka — i nic trzeciego tutaj się nie zmieści. A przytem jaka śmiałość, jaka śmieszna pewność siebie, jakie zaufanie, że śmielsze i ruchliwsze żywioły posłuchają ich opinii.

Tacy to ludzie obmyślili na dzień odsłonięcia pomnika, na chwilę, powtarzam, niemal jedyną, wyjątkową, — nawoływać społeczeństwo do ciszy i pokoju. Nic więcej! I to wszystko robiło się na kredyt, na „wszelki wypadek“, bez poznania nastroju ogółu i programu obchodu uroczystosci, postanowionego w stronnictwach „krańcowych“. Wprawdzie socyaliści wydali bardzo gorącą odezwę, ale i tam ani słowem nie potrącono o jakieś oklaski i okrzyki, a zresztą chyba nie na nich chciano wpłynąć temi wszystkiemi napomnieniami. Jedynie policya mogła z nich skorzystać i zaostrzyć swą czujność

Ugodowcy — obecnie będący w rozsypce — nie zajęli w tej sprawie bardziej określonego stanowiska, któreby ich w zasadniczej rzeczy odróżniało od poprzedniego obozu eunuchów. Idea pomnika, jak wiadomo, nie podobała się im na razie i obecnie jeszcze przebąkują coś o tem, że gdyby nie pomnik, wytargowaliby byli „coś lepszego“, ale działo się i dzieje wszystko połgębkiem i nie wykracza poza napomknienia. Pisma wszakże tego kierunku pozwoliły sobie przy okazyi na załatwianie własnych spraw we właściwy sobie sposób, a *Kuryer Polski* i *Kraj* odważyły się podsunąć nikczemną i obłudną insynuacyę, jakoby odezwy z popisem Komitetu Centralnego Robotniczego pochodziły od jednostek, od „jakiegoś „hakatysty“, „któremu zależy na tem, aby w kraju nie było nigdy spokoju“. Oczywiście jest to świadomy fałsz i niepodobna wyjść ze zdziwienia, jak taki p. Grendyszyński może się łudzić, że policyi moskiewskiej, trapiącej od kilku lat ów Cent. Kom. Rob., zamydli oczy, a przed rządem usprawiedliwi możliwe rozruchy agitacyą hakatysty. Zresztą ugodowcom najbardziej chodziło o to, żeby uroczystość Mickiewiczowską zredukować do rozmiarów zwykłego obchodu parafialnego, bez żadnej przymieszki politycznej i w tym kierunku pewną szkodę — w miarę swego niesłychanie zmalałego wpływu - przynieśli

Pozostaje jeszcze zachowanie się partyi socyalistycznej. Znamieniem jej taktyki jest, iż zawsze stara się stać oddzielnie, w opozycyi chociażby pozornej wobec całej reszty społeczeństwa i spieszy się w przelicytowaniu innych radykalizmem. Temu należy przypisać przedewszystkiem pierwsze odezwanie się socyalistów w *Robotniku*, gdzie

na pół roku przed odsłonięciem pomnika rzucili groźne słowa z zapowiedzią energicznego wystąpienia mas robotniczych. Osiągnęli to, że odezwali się istotnie pierwsi tak radykalnie, że nikt ich przelicytować nie mógł i nie chciał, ale później sami zrozumieli nietakt i szkodliwość tego nieszczęsnego wyskoku, spostrzegli, że dalej konsekwentnie iść nie można. Mieli wprawdzie tę satysfakcyę, że nastraszyli Imeretyńskiego, ale w danym razie nie ta zabawka była potrzebna. Rozumna polityka nakazywała zużytkować piękną sposobność zgromadzenia mas ludowych na jednem miejscu dla pogłębienia w nich poczucia jedności i siły i zamanifestowania na zewnątrz nastroju, wśród nich panującego. Należało mądrą taktyką i wstrzemięźliwością w słowie, nie budząc niepotrzebnie paniki, u nas bardzo łatwej, zmusić wrogi rząd i tchórzliwy komitet pomnikowy do patrzenia na wielką manifestacyę mas. Jesteśmy przekonani, iż wśród socyalistów są ludzie, którzy to zrozumieli, ale partya, jako taka, nie umiała się na rozum polityczny zdobyć. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby nie pójść razem z przedstawicielami ruchu demokratyczno-narodowego, choć ci partyjnego swego stanowiska wcale nie wysuwali i nie myśleli z uroczystości monopolu swego stronnictwa robić. Skutkiem tego przyczynili się socyaliści do zepsucia uroczystości, bo najpierw do ostatniej niemal chwili przybierali pozę sfinskową, pozwalając się wszystkiego domyślać, spodziewać po nich wszystkiego i niczego, a w końcu wydali odezwę, która wprawdzie nie zawierała w swej treści i tonie nic godnego absolutnie potępienia, ale w gruncie rzeczy odciągała ludzi od udziału w obchodzie. Zamiast połączyć się z urzędową uroczystością i zamienić ją w to, czem jej nie chciały mieć ani władze, ani komitet, socyaliści nasi zapowiedzieli swoją specyalną uroczystosć i w jakie cztery godziny po poświęceniu pomnika pokazali Warszawie u jego podnóża około 150 ludzi. Może ten smutny rezultat przekona ich, że niezawsze występowanie oddzielnie jest korzystne, nawet z partyjnego wyłącznie stanowiska.

Stronnictwo demokratyczno-narodowe nie zdołało osiągnąć swego celu pod tym względem, że nie stworzyło manifestacyi, imponującej liczbą ludu. Trudno walczyć z największą siłą, jaka dotychczas u nas decyduje, t. j. ze strachem. Pogróżki jednych, zatrważające wieści, siane przez innych, wojownicze zapowiedzi Imeretyńskiego, parady wojska po ulicach w przeddzień uroczystości zrobiły swoje. Ludu wewnątrz kordonu było mało (liczba zebranych nie dochodziła dziesięciu tysięcy), nazewnątrz było jeszcze mniej, ulice miasta były uroczyście wyludnione. Wojska i policyi za to było pełno. Piechota, kozacy i żandarmi obozowali po podwórzach, patrole przechadzały się

po ulicach — wszystko było, jak za dobrych rewolucyjnych czasów... Społeczeństwo bało się rządu, rząd bał się społeczeństwa, była jednem słowem wzajemna satysfakcya.

Jeżeli liczba obecnych nie była wielka, to przynajmniej jakość ich odpowiadała ważności chwili. Ci, co przyjechali z bliższych lub dalszych stron na odsłonięcie pomnika, wiedzieli, dlaczego to robią i kierowali się nie ciekawością próżną, ale głębokiem przekonaniem i poczuciem obowiązku. Około pół tysiąca włościan (z wyjątkiem gub. suwalskiej, najsłabiej przedstawionej, miały swych przedstawicieli wszystkie powiaty Królestwa, a dalej Litwa, Wołyń, Podole, Poznańskie, Śląźk, Kaszuby nawet, wreszcie Galicya), robotnicy, rzemieślnicy, inteligencya demokratyczna — wszyscy w tych warunkach mieli charakter przedstawicieli swych ziem i swych współwyznawców politycznych, co się uwydatniało w chwilach wzajemnego zetknięcia się podczas pobytu w stolicy kraju. Nigdy bardziej nie uwydatniło się, jak dalece postąpiliśmy na drodze pojmowania wszechpolskości, jak głęboko sięgała nam w dusze idea demokratyczna. Nigdy także atmosfera nie była gęściej przepojona odczuciem potrzeby wzajemnego współdziałania i zorganizowanego oporu przeciw uciskowi. Dzień Mickiewiczowski zaświadczył, że praca ostatniego lat dziesiątka nie została zmarnowana, że ofiary w ludziach i środkach materyalnych nie były płonne, że działalność w zakresie oświaty politycznej mas, prowadzona słowem i drukiem, nie przeszła bez śladu, że poza zorganizowanemi mniej lub więcej siłami istnieje w kraju ogromne stronnictwo demokratyczno - narodowe, obejmujące ludzi, którzy czują, myślą i działają w jednym kierunku.

Gdyby z przygotowań, prowadzonych przed odsłonięciem pomnika, nie było żadnego innego skutku, prócz przeświadczenia, zdobytego na mocy naocznych świadectw, praca by się już moralnie opłaciła.

Wszystko to nie stało się, zapewne, wskutek wypadkowego postawienia pomnika, ale było współobjawem, przyśpieszonym tylko przez wpływ potężnego ducha tego, komu pomnik postawiono.

„Po rozbiorze kraju, czy wolność, czy ucisk, rządy czy łagodne czy ostre, prowadzą go zawsze do tego samego rezultatu, do krwawej walki o byt, który stracił, lecz którego godnym nigdy być nie przestał“ — pisał niegdyś Mochnacki. Nie mógł on jeszcze wtedy mówić, że tę walkę, która „z ojca krwią spada dziedzictwem na syna“, rozpoczynają ci, których za wydziedziczonych uważano, ci, co za czasów Mochnackiego byli tylko materyałem przyszłości, a dziś

już stają się nieubłaganą siłą, stokroć groźniejszą od pokonanych dotychczas przez wroga.

Przed nami wielkie jutro. A największym siewcą plonu, który ono przyniesie, jest ten, któremu dziś pomnik wzniesiono w Warszawie.

C. S.

UROCZYSTOŚCI MICKIEWICZOWSKIE NA WYCHODZTWIE.

Wychodztwo polityczne polskie uczciło rocznicę największego swego przedstawiciela obchodami w Lozannie, Paryżu i Zurychu. Jedyne to z jawnych, publicznych obchodów, odpowiadających całkowicie swym charakterem postaci tego olbrzyma, który był nietylko geniuszem poezyi, ale wielkim w swym patryotyzmie synem ojczyzny. Świadczą one, iż Mickiewicz po dziś dzień pozostał dla rządów wygnańcem, że nie wolno mu, jak ongi, całemu, ze wszystkiem, czem żył nieśmiertelny duch jego, „powrócić na ojczyzny łono“, a tułactwo to skończy się tylko wtedy, gdy choć część jego ideałów i pragnień politycznych w życie się wcieli.

O uroczystości lozańskiej otrzymujemy następujące sprawozdanie:

Genewa, d. 27 grudnia 1898.

Jednocześnie, d. 24 grudnia r. b. odbyły się dwa obchody Mickiewiczowskie, jeden wWarszawie, drugi w Lozannie — jeden w domu niewoli, drugi w krainie wolności: jednemu i drugiemu przewodniczyła ceremonia odsłonięcia pomnika wieszcza narodu polskiego. Nie moja rzecz pisać o ceremonii warszawskiej, uregulowanej wedle tej, jaką rząd dobrotliwy urządził w Wilnie, w kolebce Mickiewicza, na cześć kata krainy, do której Mickiewicz przemawiał: „Ojczyzno moja“. Do ojczyzny w spiżowej nawet postaci wrócić nie mu wolno. Nazwiska jego użyto na przynętę dla Warszawy, na osłonę dla młodego cara. Warszawa się na plan wziąść dała i za to — urządzono dla niej cichą, cichą... poważną (?) ceremonię więzienną. Cichą była ceremonia i w Lozannie, ale istotnie poważną i zupełnie swobodną. Dar nasz dla uniwersytetu, w którego poprzedniczce, akademii, Mickiewicz przez kilka miesięcy literaturę łacińską wykładał, Szwajcarowie z tą serdeczną przyjęli życzliwością, co to za serca chwyta.

Najmniejszy zgrzyt, najmniejszy dźwięk fałszywy słyszeć się nie dał. W obcym kraju, w obcem mieście czuliśmy się niby u siebie. Gromadka polska, składająca się z młodzieży płci obojga, uczącej się w uniwersytetach szwajcarskich, z profesorów Polaków (dr. Laskowski dr. Kallenbach, dr. Kowalski, dr. Łyskowski) i kilku do starszej generacyi należących osób (Władysław Mickiewicz, płk. Z. Miłkowski, dr. Henryk Gierszyński, Ignacy Paderewski, Hip. Tchórzewski i in.) reprezentowsła Polskę bojującą, uczącą się, pracującą. Rząd kantonu Wodejskiego ofiarował na ceremonię wielką salę obrad sejmowych, w której przedstawiciele rządu i uniwersytetu, oraz członkowie komitetu Mickiewiczowskiego zebrali się uprzednio, oczekując na przybycie publiczności polskiej o godzinie pół do trzeciej po południu.

Zgromadziliśmy się na dworcu kolei żelaznej i przez miasto, pochodem uroczystym, pod standarem naszym, pod *naszym* Orłem białym, udaliśmy się do zamku przy najpiękniejszej zimowej pogodzie. Niebo, jakby umyślnie wyjaśniło się dla nas. Sztandar niósł dr. Gierszyński, a sztandarową szarfę trzymali płk. Miłkowski i Tchórzewski. Salę i galerye znaleźliśmy zapełnione już publicznością lozańską, wśród której znajdowali się reprezentanci dzienników zagranicznych, angielskich mianowicie. Publiczność przysposobioną była odczytem, p. t. „Życie i dzieła Mickiewicza“ *(La vie et l'oeuvre de Mickiewicz)*, wygłoszonym we wigilię obchodu w sali Muzeum przemysłowego przez płka Z. M., który, nawiasem mówiąc, miał poprzednio dwa w Genewie odczyty, jeden dla Genewczyków w Instytucie, drugi dla Polaków, d. 29 listopada. Nazwisko przeto jubilata dostatecznie w tym dziale Szwajcaryi, do którego odnosił się pobyt jego, wydobytem zostało z zapomnienia, w jakie pogrążył je był czas. Toć to lat 58 temu Mickiewicz Lozannę opuścił! Pozostawał w pamięci literatów i uczonych. — publiczność się nim nie interesowała.

Rozbudzenie zainteresowania się czuć się dało w sali sejmowej gdzie komitet Mickiewiczowski (dr. Józ. Kallenbach prezes, dr. Zyg. Laskowski wiceprezes, p. P. sekretarz, ob. H. Tchórzewski skarbnik i ob. Cz. Rymtowtt) znajdował się w komplecie. Obok miejsca zajmowali przedstawiciele władz: p. Soldan prezydent trybunału federalnego, p. Virieux radca stanu, delegat Rady, p. Rénevier rektor uniwersytetu, p. Combe prorektor i in. Z boku pod ścianą, na postumencie, w otoczeniu zieleni, osłonięta sztandarami wodejskim i polskim, spoczywała tablica pamiątkowa: na podłużnej z czerwonego marmuru płycie medalion bronzowy, z gałęzią laurową, osłaniającą napis literami złotemi:

Au poète
ADAM MICKIEWICZ
Professeur de litterature latine
à l'Academie de Lausanne
1839 — 1840
Les Polonais ses compatriotes*)

Obchodowi przewodniczył prof. dr. Zygmunt Laskowski. Sz. przewodniczący rozpoczął od ofiarowania panu Virieux, przedstawicielowi rządu kantonu Vaud, przewodnictwa honorowego. Po dopełnieniu tej grzeczności, za którą delegat rządowy w imieniu kraju uprzejmie podziękował, zwrócił się do rektora uniwersytetu i, opowiedziawszy mu w krótkości o znaczeniu daru, złożonego przez Polaków uniwersytowi lozańskiemu, dał znak odsłonięcia tablicy. Rozsunięcie sztandarów wykazało medalion i napis w blasku słonecznym, padającym z okien wprost na tablicę. Sprawiło to efekt ogromny Sala na dole i na galeryach zabrzmiała od oklasków przeciągłych. Gdy oklaski ustały, zabrał głos rektor, za czyniący uniwersytowi zaszczyt dar podziękował i oświadczył, że tablica tymczasowo wmurowaną będzie w audytoryum, w którem Mickiewicz wykładał w starej Akademii, lecz, gdy będący w budowie szerszy gmach uniwersytecki stanie, natenczas wybranem dla niej zostanie miejsce najwidniejsze i najodpowiedniejsze. Uniwersytet nowy buduje się za zapisany na ten cel Lozannie fundusz przez Rosyanina, niejakiego Rumina, zmarłego lat temu trzydzieści kilka. Zbieg szczególny: Rumin i Mickiewicz — Moskal i Polak: „Za naszą i waszą wolność".

Dr. Kallenbach przygotował odczyt, którego z powodu świeżego z obłożnej choroby dźwignięcia się sam odczytać nie mógł. Wyręczył go kolega, profesor na wydziale prawa w uniwersytecie fryburskim, p. Giraud Treść odczytu, prześlicznie napisanego i udokumentowanego, odnosiła się do pobytu Mickiewicza w Lozannie. Publiczność wysłuchała go w skupieniu ducha i długo a szczerze autorowi na podziękowanie klaskała.

Zabrał głos prorektor p. Combe. Temu, tośmy my Polacy, o! jak szczerze klaskali. P. Combe chciał mówić, o czem dr. Kallenbach wyczerpująco powiedział, zaznaczył więc tylko, że dar nasz jest dla uniwersytetu lozańskiego zaszczytnym, zaszczytnym dlatego, że przechował on pamięć wyobraziciela Polski, tej Polski co była, która dziś nie istnieje, lecz która byt odzyska i istnieć musi, jest bowiem Eu-

*) Poecie Adamowi Mickiewiczowi, profesorowi literatury łacińskiej w Akademii Lozańskiej, 1839 — 1840. Polacy spółziomkowie jego.

ropie i ludzkości potrzebną. Krótko to powiedział, ale tak dosadnie, takim z głębi przekonania idącym głosem, żeśmy się z miejsc naszych porwali, jakby przyszła Polska oczom się naszym nagle objawiła. Słowa te zacnego prorektora stały się ceremonii całej kluczem.

O! nie pozbawiła nas jeszcze Moskwa w Europie przyjaciół, wzmacniających w nas ducha.

Obchód zamknął przewodniczący przemową, opowiadając w formie wytwornej stosunki pomiędzy komitetem a władzami krajowemi i uniwersyteckimi kantonu Vaud i wyrażając podziękowanie za serdeczną uprzejmość i za wszelkie ze strony władz wodejskich ułatwienia, jakie te stosunki zaznaczyły. Żałuję, iż przemowy tej, drgającej patryotyzmem, powtórzyć dla was nie mogę. O dostanie jej, niestety, starałem się nadaremnie.

Do komitetu obchodowego nadeszła moc wielka telegramów i listów z zaboru austryackiego i pruskiego, z Francyi, z Rumunii i t. d. od instytucyj, od korporacyj i od osób pojedynczych; najwięcej ze Lwowa. Komitet ma napis ogłosić, jakem słyszał, w broszurze specyalnie obchodowi poświęconej.

Pomysł tablicy pamiątkowej powstał w głowie W. K. (zaznaczam go inicyałami, nie wiedząc, czyby pozwolił na wypisanie swego nazwiska i imienia), byłego prezesa Tow. wzajemn. pomocy Polaków w Genewie. Po usunięciu się jego z prezesostwa towarzystwo pomysł sobie przyswoiło, wybrało z łona swego komitet i komitet przez nie wybrany, mimo zaszłych w składzie należących do niego osób zmian, dzieło pomyślnie doprowadził do skutku.

A jest to dzieło, bądź co bądź, pokrzepiające nas w pielgrzymce, jak źródło wody czystej i świeżej pokrzepia wędrowca, przebijającego się przez pustynne Arabistanu piaski. *J. Sl.*

Brak nam miejsca na podawanie szczegółowych sprawozdań z uroczystości mickiewiczowskich, które urządzało wychodztwo polskie wszędzie, gdziekolwiek w znaczniejszej przebywa liczbie. Zaznaczymy więc tylko, że w Paryżu najwspanialej urządzono obchód, na którym między innymi wygłosił piękną mowę znakomity krytyk francuski Lemaitre. Żałujemy, że nie możemy podać wyjątków z tej mowy, tchnącej głęboką i szczerą sympatyą do nas i naszej sprawy, zresztą całkowicie lub w streszczeniu podały ją dzienniki, nawet w pismach warszawskich były dłuższe z niej ustępy. W Zurychu staraniem uczącej się tam młodzieży urządzono obchód, na którym byli przeważnie radykali i socyaliści szwajcarscy. Na tym obchodzie wy-

głosił p. Karol Lewakowski mowę, w której zaznaczył, że naród nasz „odnalazł w Mickiewiczu własną swą duszę, podniesioną do najwyższej potęgi szlachetności i genialnej samowiedzy i począł czerpać z niej siłę do odporu i nadzieję lepszej przyszłości".

Mając słuchaczy w znacznej liczbie socyalistów, p. Lewakowski tak swoje przemówienie do nich zakończył:

„Zanim wybije tak gorąco przez nas upragniona godzina, krzepcie się walką o sprawiedliwość w społeczeństwie, o lepszy, godniejszy ludzkości jego ustrój! Ale w tych walkach przejmujcie się duchem Adama Mickiewicza, zawsze pomni, że przedewszystkiem stoi przed nami zadanie zdobycia wolności i niepodległości własnego narodu! A nastąpi to wtenczas, kiedy cały naród przejmie się Jego myślami, kiedy zgoda, miłość ojczyzny, rycerski zapał i pogarda śmierci obejmą wszystkie klasy społeczeństwa i milionowe rzesze, jak jeden mąż, dopomną się praw swoich. Wtenczas dopiero uczcimy godnie drogą nam pamięć Adama Mickiewicza, która niechaj wiecznie żyje, niechaj ubóstwiana przechodzi z pokolenia na pokolenie"!

W Pradze towarzystwo polskie „Ognisko" urządziło obchód, na którym przemawiał znany poeta czeski Vrchlicki, czcąc Mickiewicza, jako „głosiciela piękna, wolności, miłości i dobra, które kiedyś da powaśnionym ludom pożądaną harmonię i spokój". Vrchlicki, Czerny i Podlipny, burmistrz Pragi, wybierali się do Warszawy na uroczystość odsłonięcia pomnika, ale w ostatniej chwili zmienili zamiar, czy to z obawy, czy z porady. Jeden z nich Czerny, istotnie zachorował, więc napisał tylko rozumny i uczciwy artykuł o stosunkach polsko-rosyjskich. Vrchlicki wymówił się od podróży przyjazdem do niego... ciotki i wygłosił tylko mowę w „Ognisku", a Podlipny nie usprawiedliwiał się wcale i posłał do Warszawy srebrną gałązkę lipową. Braterstwo słowiańskie nie pozwala narażać się — rządowi rosyjskiemu.

Nie można się zresztą dziwić Czechom, skoro i Galicyanie nie pojechali.

Nawet w Buenos Ayres istniejące tam dwa towarzystwa, z których jedno nazywa się polskiem, drugie — demokratycznem, urządziły wspólnie obchód setnej rocznicy urodzin Mickiewicza. Deklamowano jego utwory, śpiewano pieśni narodowe. Przemawiali pp. Laudański, Nowalewski i Ścisłowski. Sercem i pamięcią łączyła się w tej chwili uroczystej gromadka wychodzców z Warszawą i całą Polską.

Ta rocznica stała się dla Polaków, rozproszonych po świecie wielkiem świętem narodowem.

SPRAWOZDANIA.

Lutomir Bolesławicki. *Wobec wznowienia kwestyi polskiej.* Kraków, 1899.

Nie jest to broszura, jakby z tytułu sądzić było można, ale spora książka, mająca około 20 arkuszy druku i składająca się z kilkunastu artykułów i szkiców publicystycznych, historyczno-politycznych i nawet socyologicznych. Oczywiście artykuły, do dwóch ostatnich kategoryj należące, mają również charakter dziennikarski nie zaś naukowy. Powiązanie tych artykułów, pisanych w różnych odstępach czasu, dosyć jest luźnem. Łączy je nie tyle myśl przewodnia, ile raczej tytuł wspólny, niezbyt szczęśliwie dobrany.

Zarzucono już autorowi, że dał książce tytuł niewłaściwy, mówiąc bowiem o wznowieniu kwestyi polskiej, zacieśnia jej znaczenie, sprowadza je do uregulowania stosunku Polaków do państwa rosyjskiego. Należałoby więc przynajmniej uzupełnić tytuł dodatkiem »w zaborze« albo »w państwie rosyjskiem«. Ale i z tym dodatkiem o wznowieniu »kwestyi polskiej« mówić nie można, istnieje ona bowiem nieprzerwanie i niezależnie od takiego lub innego stosunku prawno-politycznego Polaków do państw zaborczych. Natomiast nie wydaje nam się słusznym zarzut, że autor sprowadza kwestyę polską do znaczenia sprawy wewnętrznej państwa rosyjskiego. Naprzód traktuje on ją szerzej, powtóre kwestya polska w dzisiejszem swem stadyum, istotnie jest przeważnie sprawą wewnętrzną Rosyi, Prus i Austryi.

Ale zrobić musimy autorowi zarzut inny, dotyczący charakteru książki, sposobu jej pisania, jeżeli tak wyrazić się można. P. Bolesławicki zamierzał pierwotnie wydać książkę pod własnem nazwiskiem, tymczasem w ciągu jej drukowania zaszły takie zmiany »w usposobieniu sfer rządowych i policyjnych«, że i on zmienił swój zamiar, który w dzisiejszych warunkach byłby »nie aktem odwagi cywilnej lecz lekkomyślności«. Inaczej wszakże pisze się pod własnem nazwiskiem, a inaczej pod pseudonymem. Niedomówienia, zastrzeżenia i nawet pewne wyrażenia, które są naturalnemi w pierwszym wypadku, rażą czytelnika w książce, podpisanej nazwiskiem przybranem Czytając więc książkę p. Bolesławickiego i oceniając jego poglądy polityczne, wciąż pamiętać trzeba o tem, że autor wydać ją zamierzał pod nazwiskiem własnem i kiedy ją pisał, łudził się, że sfery rządowe »nie poczytają za winę Polakowi szczerego wypowiedzenia swego zdania«.

Sprawozdanie z książki p. Bolesławickiego jest zadaniem trudnem. Nie jest ona jednolitą, nie ma wyraźnej, konsekwentnej myśli przewodniej. Autor sam to przyznaje, twierdząc z pewną, chociaż nie bezwzględną słusznością, że »zachowanie ścisłej konsekwencyi rozumowania w naszych warunkach« możliwem jest albo dla doktrynerów, »którzy mają oczy zamknięte na otaczającą rzeczywistość, trzymając się jednej, stałej idei wśród wszystkich kolei losów narodowych«, albo dla »zacietrzewionych stronników pewnych haseł i programów. w ich mniemaniu jedynie zbawczych«. albo dla »trywialnych empiryków, o których wyznaniu wiary i postępowaniu stanowi interes zysk lub karyera«.

Autor nie należy do żadnej z tych trzech kategoryj, jest on dyletantem politycznym, w wyższem znaczeniu tego wyrazu, dyletantem. zdolnym do szerokiego i krytycznego traktowania sprawy publicznej, ale wrażliwym i niezdecydowanym, uświadamiającym sobie »złożone i sprzeczne warunki

naszego istnienia«, żywo odczuwającym »niebezpieczeństwo prowadzenia zarówno lojalnej, w dzisiejszem pojęciu, jak i rewolucyjnej polityki«.

Tacy ludzie są zawsze lichymi politykami czynnymi, ale mogą być dobrymi pisarzami politycznymi. Zgadzamy się z p. Bolesławickim, że książka polityczna, »jeżeli potrafi żywiej poruszyć dusze i inteligencye, odtworzyć nastrój wybitniejszych typów i grup, rozsiać wrażenia szlachetniejsze i cieplejsze, ustalić pewne opinie i wytknąć niektóre zasadnicze drogi myśli i czynów, z których zbaczać pod żadnym pozorem nie wolno to zadanie jej należy uważać za osiągnięte w zupełności«.

Tego zadania książka, o której mówimy, nie osięga, ale się do niego zbliża. Należy ona do tych, które budzą myśli, które nie dają wprawdzie wskazań politycznych, ale samodzielne wyrobienie ich ułatwiają.

Ale dlatego że praca Bolesławickiego ma, mówiąc własnemi słowy autor, »zadanie ogólne nie zaś szczególne« nie podobna ani streścić jej, ani w krótkiem sprawozdaniu ocenić. Do poglądów, w tej książce wyrażonych, do poruszonych w niej zagadnień politycznych, wrócimy nieraz, teraz zaś zaznaczymy tylko niepoślednią wartość pracy publicystycznej p. Bolesławickiego i stanowisko, które autor zajmuje.

Wierzy on w możliwość kompromisu Polaków z rządem i społeczeńswem rosyjskiem, ale ta wiara polityczna, jak każda wogóle wiara, opiera się na bardzo słabych argumentach rozumowanych. Twierdząc stanowczo, że ten kompromis jest logicznym wynikiem naszego położenia, autor poddaje ostrej, chociaż trochę spóźnionej krytyce program i taktykę ugodowców. »Jeżeli jednak — powiada — kompromis staje się widocznem niepodobieństwem, to domaga się odpowiedzi pytanie: jaka droga dalszego pochodu zostaje wątpiącemu lub zbłąkanemu społeczeństwu«. Sam autor nie daje odpowiedzi na to pytanie, chociaż podkreśla, że »trwanie« przy programach kompromisowych jest niemożliwem; A raczej daje odpowiedź, ale bardzo ogólnikową i niejasną, że w podobnych wypadkach wskazuje drogę narodom »instynkt historyczny«. Skoro jednak probuje wskazania instynktu przedstawić w formie pozytywnej, dochodzi w gruncie rzeczy do tego samego programu polityki biernej, który słusznie potępił, programu, zalecającego: »cicho siedzieć i pracować«.

Mówiliśmy już pierwej że wskazań programowych, rad praktycznych, nie należy szukać w książce p. Bolesławickiego. Ma ona zadanie inne, ważniejsze: porusza zagadnienia naszej polityki narodowej i różnostronnie a krytycznie je oświetla. Dlatego chociaż poglądy nasze w wielu ważnych kwestyach różnią się od poglądów autora, polecamy książkę jego czytelnikom, którzy i w polityce umieją cenić samodzielność myśli i sami chcą myśleć krytycznie.

i. p.

KRONIKA.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

= Opera włoska w teatrze warszawskim kosztuje bardzo drogo i jest utrzymywana przeważnie dla Moskali. Książę Imeretyński tak gorliwie się nią opiekuje, że zabronił pismom warszawskim krytykowania śpiewaków wło-

skich. W rozporządzeniu, wydanem prezesowi komitetu cenzury, generał-gubernator nakazuje kreślić wszystkie artykuły, nieprzychylne artystom włoskim, zwłaszcza polecono cenzorom zwracać szczególną uwagę na artykuły znanego krytyka Sygietyńskiego, piszącego sprawozdania w *Kuryerze warszawskim*. Tenor Battistini, ulubieniec dam rosyjskich, groził zawieszeniem *Kuryera warszawskiego*, jeżeli Sygietyński będzie pisywał uszczypliwe recenzye.

= Zawieszenie na 3 miesiące *Gońca łódzkiego* nastąpiło niewątpliwie wskutek starań i denuncyacyi milionerów Niemców łódzkich. Powodem formalnym zawieszenia *Gońca* było podobno przedrukowanie w niem artykułu, dosyć w treści niewinnego, z zagranicznego pisma socyalistycznego. Zresztą *Goniec* występował przeciw Niemcom dosyć umiarkowanie, daleko ostrzej traktuje ich drugie pismo, *Rozwój*, któremu jednak nic dotychczas zrobić nie mogą, bo redaktor ma jakiegoś wpływowego protektora w Petersburgu. Oburzeni »zuchwalstwem« prasy polskiej, ośmielającej się krytykować ich postępowanie, i rozzłoszczeni niemożnością zgnębienia *Rozwoju*, milionerzy niemieccy wywarli zemstę na *Gońcu*.

= Redaktora wychodzącego w Warszawie, arcy-lojalnego *Kuryera polskiego* p. Straszewicza skazano na 1000 rs. kary za »tendencyjne zestawienie w numerze noworocznym epoki upadku Polski w XVIII wieku z obecnem położeniem rzeczy«. Żadnego zestawienia w tym artykule nie ma, są tylko podobizny numerów *Kuryera polskiego*, wychodzącego w r. 1756 i 1758, oraz w r. 1830. W pierwszej podobiznie znajdujemy dyplom z podpisem Augusta III i wyliczeniem (po łacinie) jego tytułów: *Rex Poloniae*, *Magnus Dux Lithuaniae* i t. d. To właściwie było powodem nałożenia kary. Złośliwi powiadają, że Imeretyński chciał w ten sposób zrobić popularnym skompromitowany w opinii publicznej *Kuryer polski*. Karę zapłaci hojny p. Wawelberg, a wielu naiwnych święcie teraz wierzyć będzie w patryotyzm ukaranego pisemka i z namaszczeniem pochłaniać coraz większe dawki lojalizmu.

= Z osób, aresztowanych w sierpniu i w jesieni r. z. w t. zw. sprawie oświaty ludowej lub oskarzonych o sprowadzanie książek nielegalnych wypuszczono już z więzienia na Pawiaku lub z Cytadeli, 24. Niemal wszyscy złożyć musieli kaucye, ale nie wielkie, od 300 do 600 rs, co wskazuje, że nie grożą im surowe kary. Natomiast, zdaje się, w tejże sprawie aresztowano niedawno młodego lekarza Psarskiego, zamieszkałego w gubernii łomżyńskiej. Chłopi, mieszczanie i nawet żydzi z okolicy, w której dr. Psarski praktykował, chcieli złożyć za niego wysoką kaucyę, ale otrzymali odpowiedź odmowną. Żandarmi oddawna szukali jakiegoś »towarzystwa oświaty ludowej« i myślą, że są na tropie niebezpiecznej organizacyi, ale sądzimy, że musieli większą część aresztowanych uwolnić od odpowiedzialności. Sprawa nie przybrałaby takich rozmiarów, gdyby nie obawa, którą Imeretyński zdradza w memoryale, wpływu inteligencyi na lud.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

= Niepoprawni politycy szlacheccy wymyślili nową kombinacyę ugodową. Ze względu na interesy rolnictwa, szczególnie własności większej, radzą oni społeczeństwu polskiemu staranie się o kompromis z konserwatystami pruskimi, tymbardziej że na centrum liczyć nie można, a katolicy niemieccy

coraz wyraźniej występują przeciw Polakom. W *Gazecie toruńskiej* i innych pismach znaleźliśmy kilka listów i artykułów, zalecających nowe bałamuctwo polityczne. Wybór hr. Kwileckiego na sekretarza parlamentu przy pomocy konserwatystów i rządowców uważają ci politycy za ustępstwo. »Jest to ze strony rządowców małe ustępstwo, aleć jest coś (?) Kiedy zaś będziemy sobie postępowali, jak szanowny korespondent ze wsi radzi, to może sytuacya zmieni się na naszą korzyść (?) Może rządowcy nareszcie się przekonają, że walka przeciw polskości jest bezowocną a państwu pruskiemu wprost szkodliwą i w przyszłości naprawią to, co przeciw nam w ostatnich latach nagrzeszyli«.

Niedorzeczność tej nowej kombinacyi tak jest widoczną, że nie wywołała ona nawet dłuższej polemiki, zaznaczamy jednak ten pomysł, jako objaw znamienny niedołęztwa politycznego szlachty, w poczuciu niemocy własnej czepiającego się na gwałt klamki niemieckiej.

== Pisma polskie coraz częściej zaznaczają objawy hakatyzmu katolickiego. Niemcy katolicy w Poznańskiem domagają się tworzenia oddzielnych parafii niemieckich, któreby podlegały wikaryuszowi generalnemu, niezależnemu od arcybiskupa gnieźnieńskiego. Projekt ten służy do agitacyi, bo na urzeczywistnienie go nie mają nadziei. Skutki agitacyi są już widoczne. W Jerzycach Niemcy katolicy zażądali kazań niemieckich i przemawiali tak gwałtownie na zebraniu, że proboszcz musiał je opuścić. Tu i owdzie powstają oddzielne niemiecko-katolickie towarzystwa ludowe pod opieką, a nawet z inicyatywy księży Niemców. Znany okólnik urzędowy zaleca nauczycielom, żeby żądali kazań niemieckich, śpiewali w kościołach pieśni niemieckie i pilnowali księży w sprawie udzielania w języku niemieckim nauki przygotowawczej do sakramentów tym dzieciom polskim, które w szkole uczą się religii po niemiecku.

== Przed wyborami do parlamentu centralny komitet poznański mianował kandydatem na powiaty wrzesiński, jarociński i pleszewski p. Dziembowskiego, dawnego posła, chociaż na zebraniach powiatów jarocińskiego i pleszewskiego wyborcy oświadczyli się przeciw niemu. W ostatniej chwili nie można było robić secesyi i p. Dziembowski został posłem, ale wobec protestów wyborców oświadczył zamiar złożenia mandatu. Nie długo jednak wytrwał w dobrym zamiarze, wkrótce bowiem ogłosił, że na żądanie komitetu wyborczego wrzesińskiego (właściwie tylko dwóch członków), mandat zatrzymuje. Tę bezczelność p. Dziembowskiego oburzyła do żywego wyborców pleszewskich, wystąpili więc z publicznym protestem, w którym piszą: »do p. Dziembowskiego żadnego zaufania nie mamy, jego polityki (szlachecko-ugodowej) nie aprobujemy i za swego posła go nie uważamy«. A dalej: »wszelką dyskusyę nad pozostawieniem go krześle poselskiem *a limine* uchylamy i wzywamy go do złożenia nieszlachetnie zdobytego mandatu«. Protest podpisali członkowie powiatowego komitetu pleszewskiego. P. Dziembowski jednak mandatu nie składa, chociaż, jak pisze delegat do centralnego komitetu wyborczego p. Kutzner, kiedy na zebraniu delegatów uznano kandydaturę jego za nielegalną, oświadczył, że ją przyjął »zmuszony przez swoją partyę«, ale że mandat złoży dobrowolnie. Zatrzymanie mandatu przez p. Dziembowskiego nazywa p. Kutzner »nieszlachetnem« i przypomina przysłowie: «kogo nie proszą, tego za drzwi wynoszą».

P. Dziembowski należy widocznie do kategoryi polityków gruboskórnych i żadne protesty, chociażby najostrzej zredagowane, nie wywrą na niego wpływu. Wyborcy powinni zwrócić się wprost do Koła polskiego z żądaniem, żeby zmusiło tego pana do złożenia podstępnie zdobytego mandatu. W Kole zasiadają przecie w większość bez względu na przekonania, ludzie uczciwi i przyzwoici, których czelność, kolegi musiała oburzyć.

= Dyecezya chełmińske zajmuje obszar 470 mil kw. i liczy około 600.000 katolików, w ogromnej większości Polaków. Pomimo to biskupem został znowu Niemiec, ks. Rosentreter, o którym jedni mówią, że jest bezstronnym, drudzy zaliczają go do wrogów narodowości naszej. Faktem jest, że ks. Rosentreter, będąc rektorem seminaryum w Pelplinie, zakazał klerykom Polakom śpiewania starożytnej pieśni »Serdeczna Matko«, ponieważ melodya jej przypomina hymn »Boże coś Polskę«. I to jest również faktem, że kapituła w której zasiada kilku jeszcze księży Polaków, nie postawiła pierwotnie kandydatury ks. Rosentretera. Wybrano go dopiero później, jako najlepszego z kandydatów, miłych rządowi, jawnych i zawziętych germanizatorów, w rodzaju ks. Luedtkego, który zmarłego w r. z. biskupa Rednera przeciw Polakom podburzał.

= Statystyka ostatnich wyborów wykazuje, że w Poznańskiem liczba głosujących wynosiła 259.881, czyli 76·5% uprawnionych do głosowania. Na kandydatów polskich padło 142.295 głosów. Jest to stanowczo liczba za mała, świadcząca, że znaczna część ludności polskiej nie brała udziału w wyborach. Ponieważ Polacy stanowią w Poznańskiem więcej niż 62% ludności, liczba głosów polskich, przypuszczając że procent niegłosujących jest jednakowy wśród Polaków i Niemców, powinna była wynosić co najmniej 161.000 Wprawdzie w dwóch okręgach Polacy, wespół z katolikami Niemcami, głosowali na kandydatów centrum, ale to stronnictwo otrzymało w Poznańskiem zaledwie 12.084 głosów.

Wogóle na kandydatów polskich w całem państwie niemieckiem oddano 245.128 głosów, mianowicie:

w W. Ks. Poznańskiem	142.285
w Prusach Zachodnich	88.526
w Prusach Wschodnich	11.667
w Berlinie	337
w Brandenburgii	151
na Pomorzu	1.076

W rachubę nie wchodzą głosy polskie naGórnym Slązku, oddane na kandydatów centrum. Ponieważ Polacy stanowią blizko 7% ludności państwa niemieckiego, liczba głosów, oddanych w całych Niemczech na kandydatów polskich, mogłaby wynosić około 540.000. Ma się rozumieć, dzisiaj marzyć o tem nawet nie wolno, natomiast trzeba zaznaczyć konieczność utworzenia raz wreszcie centralnego komitetu wyborczego, któryby zużytkował na korzyść sprawy narodowej marnujące się dziesiątki tysięcy głosów polskich.

= Do *Gońca wielkopolskiego* piszą z Piły, że tam »zniesiono na rozkaz wyższej władzy duchownej nabożeństwo polskie na wotywie, a pozostawiono nam tylko polską naukę katechizmową i to w tym czasie, kiedy Niemcy jeszcze smacznie śpią, tj. o 8-mej rano; ograniczono ją też o tyle, że regularnie, co 4-tą niedzielę będzie nabożeństwo niemieckie z kazaniem niemieckiem dla... wojska. Takie ograniczenie równa się prawie zniesieniu

nabożeństwa polskiego, bo o tak wczesnej godzinie chyba setny człowiek może na kazanie uczęszczać. Kościół będzie próżny i o to też właśnie pewnym ludziom chodzi, aby można znaleźć powód do całkowitego zaprzestania nauk w języku polskim. Goryczy, jaką rozkazy te między nami wywołały, nie zdolne żadne pióro opisać«. Władza duchowna, jak łatwo było przewidzieć, na żądania hakatystów katolickich odpowiada ustępstwami, krzywdzącemi ludność polską.

== W roku 1898 nabyła komisya kolonizacyjna następujące majątki: Morakowo, w powiecie wągrowieckim, około 4000 morgów, Haertlowskie wolne sołectwo Morgenau, w powiecie gnieźnieńskim, 440 morgów; posiadłość właściciela dóbr Flechtnera w król. Neudorf (!), pow. wrzesiński, 4000 morgów; majątek Książno, powiat wrzesiński, 1285 morgów; majątek Buschkowo, pow. średzki, 1000 m.; Grzybno, pow. witkowski. 1200 m.; Rachwitz, pow. bydgoski; Wyszakowo, pow. średzki, 1000 m. Recz pod Janowcem, Rumianek, pow. zachodnio-poznański 918 m.; Radowice, ks. Birona Kurlandzkiego w powiecie ostrzeszowskim, 4904 m. Wogóle ofiarowano komisyi na sprzedaż przeszło 127000 hektarów ziemi, z czego zakupiono około około 15000 hekt. W przecięciu zapłacono za hektar 774 marek. Z podanych powyżej majątków, nabytych przez kolonizacyę, tylko jeden, Grzybowo, należał do Polaka, Ant. Błociszewskiego. Obecnie właściciele ziemscy Niemcy korzystają niemal wyłącznie z pieniędzy komisyi kolonizacyjnej, podsuwając jej za wysoką cenę majątki, ktęre rzekomo chcą nabyć Polacy. Pomagają im w tej spekulacyi piama hakatystowskie.

Z GALICYI.

== Podwyższenie w r. b. płac urzędników a nawet sług państwowych uwidoczniło tymbardziej nędzę nauczycieli ludowych w Galicyi. Są oni wprawdzie lepiej wynagradzani niż koledzy ich w Królestwie, najniższa bowiem płaca wynosi więcej niż 300 złr., podówczas gdy tam nauczyciel Polak, który pobiera 200 rs. (250 złr.) należy już do uposażonych dobrze, większość zaś otrzymuje mniej. Ze względu jednak na wysokie ceny produktów spożywczych i w porównaniu z wynagrodzeniem urzędników państwowych, płace nauczycieli ludowych w Galicyi są bardzo nizkie, wielu więc porzuca swój zawód i szuka na innych polach lepszego bytu. Z tego powodu mamy w Galicyi znaczną liczbę szkół nieobsadzonych. Podwyższenie płac nauczycielskich jest jednak zadaniem trudnem, należałoby bowiem nałożyć na ludność, w stosunku do swych dochodów obarczoną podatkami, nowy ciężar. Na trzydniowej kadencyi sejmu w ostatnich dniach roku ubiegłego, p. Małachowski, prezydent miasta Lwowa, postawił wniosek nagły, wzywający sejm, żeby oprócz wyznaczonej w budżecie na wydatki szkolne kwoty 2.393.634 złr., wstawił pozycyę dodatkową w sumie 550.000 złr. na podwyższenie płac nauczycielskich. Na pokrycie zaś tego wydatku należy podnieść dodatki do podatków państwowych o 5 centów od każdego guldena. Sejm odrzucił nagłość wniosku 74 głosami przeciw 41.

Ale nazajutrz, gdy marszałek Badeni postawił tenże wniosek na zwyczajnym porządku dziennym, sejm jednogłośnie wniosek p. Małachowskiego uchwalił z poleceniem, żeby sprawa była załatwiona w ciągu kadencyi bie-

żącej. To samo właściwie oznaczała nagłość wniosku, niepotrzebnie więc pisma opozycyjne narobiły w tej sprawie hałasu, tymbardziej, że postawienie efektownego wniosku nagłego miało zapewne na celu zjednanie p. Małachowskiemu popularności w szerokich kołach wobec zbliżających się wyborów prezydenta miasta Lwowa. Ten cel został osiągnięty, i p. Małachowski stał się głośnym szermierzem sympatycznej sprawy oświaty ludu, co mu niewątpliwie trochę głosów przysporzy.

— We Lwowie wychodzi 8 pism codziennych polskich, 51 tygodników, dwutygodników, miesięczników i t. d. i 5 pism humorystycznych, nie licząc 16 pism ruskich i 2 żydowskich. W ogóle liczba pism wychodzących w Galicyi jest blizko dwa razy większą, niż liczba pism polskich w Królestwie, gdzie do niedawna, w Warszawie i na prowincyi liczono zaledwie 65 wydawnictw peryodycznych. Obecnie przybyło kilko pism, ogólna liczba jednak nie dochodzi 80. Tymczasem wyczytaliśmy ze zdziwieniem w *Słowie polskiem*, że w zaborze rosyjskim, który jest głównem ogniskiem naszego życia umysłowego, wychodzi 400 pism. Poważny dziennik powinien mieć sumienniejszych informatorów i lepszą korektę redakcyjną, tego rodzaju bowiem wiadomości fałszywe umacniają czytający ogół w błędnem przekonaniu, że narodowość polska w zaborze rosyjskim ma możność »swobodnego rozwoju zadań kultnralnych«.

— W Krakowie 24 grudnia urządzili socyaliści pochód przez miasto do pomnika Mickiewicza i złożyli około 40 wieńców od robotników z Warszawy i różnych miejscowości Królestwa. Manifestacya sprawiła duże wrażenie, chociaż nie bardzo licowała z niedawną zapowiedzią wzięcia za wszelką cenę udziału w uroczystości warszawskiej, »chociażby się krew polać miała«. Policya nie przeszkadzała składaniu wieńców, nie pozwoliła tylko na wygłoszenie mowy, wkrótce potem jednak wytoczyła proces osobom, które obchód urządzały. Rozprawa sądowa skompromitowała gorliwość wyższej władzy policyjnej, bowiem dwaj komisarze zeznali, że policya była zawiadomioną o obchodzie i dała pozwolenie. Wskutek tych zeznań sąd uwolnił oskarżonych od odpowiedzialności.

— Niedawno aresztowano we Lwowie emigranta z zaboru rosyjskiego, rysownika technicznego Siemaszkę za kolportowanie bez pozwolenia władzy pism i broszur socyalistycznych. Parę miesięcy trzymano go w więzieniu śledczem, wreszcie skazano sądownie na kilka dni aresztu i w następstwie tej kary — na wydalenie z granic Austryi. Ponieważ rozeszła się pogłoska, że Siemaszkę mają wydać władzom rosyjskim, gromadka studentów i robotników usiłowała dopomódz mu do ucieczki. Istotnie Siemaszko wyrwał się z rąk eskortującym go strażnikom, ale niebawem został ujęty ponownie. Strażnicy, którzy prowadzili więźnia, oskarżali architekta Mokłowskiego, że był organizatorem rzekomego napadu. P. Mokłowskiego wkrótce po zaaresztowaniu wypuszczono, zaś Siemaszkę odstawiono do granicy węgierskiej. W tydzień po tem zajściu p. Mokłowski wyjechał do krewnych swoich, mieszkających na Wołyniu i został w Radziwiłłowie aresztowany, jak zapewniają, wskutek denuncyacyi, wysłanej telegraficznie z Brodów. Należałoby tę sprawę wyjaśnić, dotychczas bowiem tylko policya krakowska była podejrzywaną o wzajemną wymianę usług z policyą rosyjską.

Z KRESÓW.

— Dawniej już publicyści, którzy poważnie badali stosunki narodowościowe w księztwie cieszyńskiem, zaznaczali niejednokrotnie, że Czesi są tam równie niebezpiecznymi, jak Niemcy, a może nawet niebezpieczniejszymi wrogami odrodzenia narodowego ludności polskiej. Dopiero jednak *Świt* i *Głos ludu ślązkiego* należycie wyjaśniły tę sprawę, oświetlając w sposób, nieraz zbyt może jaskrawy i brutalny, postępowanie Czechów. Zwłaszcza ludność robotnicza polska w okręgach fabrycznych Ślązka i koło Ostrawy, w wązkim pasie Moraw dzielącym cieszyńską część kraju od opawskiej, czeszczy się pod wpływem oficyalistów i urzędników Czechów. W Dąbrowie, gdzie wśród zwartej ludności polskiej mieszka garstka Czechów, ci ostatni zaczęli wyprawiać awantury nawet w kościele z powodu zaprowadzenia kazań i śpiewów polskich. W końcu jednak położono kres tym skandalicznym zajściom i w Dąbrowie zapanował względny spokój, który teraz znowu naruszył ks. Świeży. Na prośbę kilku malkontentów czeskich przybył on do Dąbrowy i zwołał naradę, na której namawiał Polaków, żeby zgodzili się na zaprowadzenie co drugi dzień nabożeństwa czeskiego. Kompromis nie doszedł do skutku, bo Czesi stawiali większe jeszcze wymagania, ludność zaś polską oburzyło postępowanie ks. Świeżego, któremu radzono, żeby przyjrzał się stosunkom w sąsiedniej Orłowej. W tej polskiej polskiej parafii księża Czesi nawet raz na rok nie chcą odprawiać nabożeństwa polskiego, kiedy w Dąbrowie co druga niedziela odbywa się nabożeństwo czeskie. Postępowanie t. zw. narodowych posłów polskich na Ślązku jest wprost oburzającem: jeden z nich wysługuje się Niemcom, drugi Czechom, wszyscy trzej zaś uroczyście zgodzili się na uznanie praw korony czeskiej, t. j. na połączenie Ślązka z Morawami i Czechami, natomiast o przyłączeniu księztwa cieszyńskiego do dyecezyi krakowskiej słyszeć nie chcą. W tejże Dąbrowie, o której wyżej mówiliśmy, urządzili Czesi przedstawienie teatralne, na którem byli przedstawiciele polsko-czeskiej zgody. Aktor czeski, grający rolę żebraka, taki wygłosił ze sceny testament: »tę czapkę i potargany frak daruję Niemcom, żeby mieli w czem iść do Berlina, zaś ten żebraczy worek daruję Polakom, żeby poszli szukać żebraczego chleba, a ten kij daruję wam Czechom, żebyście tych Polaków i Niemców ze Ślązka wypędzili«. Po tych słowa cała sala zatrzęsła się od okrzyków: *wyborne!*

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

— Z Argentyny donosi nam p. Nowalewski, że w r. b. powstała tam kolonia polska p. n. Apostolos, w prowincyi Missiones. Nowa kolonia liczy 63 rodzin pochodzących przeważnie z Galicyi, w części z Królestwa. Znajduje się ona w niewielkiej odległości — ma się rozumieć, na miarę południowo-amerykańską — od kolonii polskich w brazylijskim stanie Rio Grande do Sul i od granic Parany. Gubernator prowincyi Missiones uważa Polaków za znakomitych kolonistów i prosił zarząd domu emigracyjnego, żeby wszystkich przybywających do Argentyny wychodzców polskich wysyłano do nowej kolonii.

— Pisma polsko-amerykańskie podnoszą znów myśl poruszenia na konferencyi pokojowej sprawy polskiej przez delegatów Stanów Zjednoczo-

nych. Detroicka *Swoboda* tak o tem pisze: »Proponujemy zatem ze wszystkich naszych osad wybranie — przypuśćmy — osób 20; te mają zjechać się na narady do Chicago, wybrać komitet z trzech, temu komitetowi polecić napisanie memoryału, takowy przez owych 20-stu zatwierdzić i wysłać przez deputacyę do Waszyngtonu. Przy tem postarać się można na osobnem piśmie o podpisy wybitnych polityków, gubernatorów i majorów rozmaitych stanów i miast, kongresmanów, wybraaych z pomocą polskich głosów i td., którzyby swoim wpływem i znaczeniem cel nasz poparli. Memoryał musi bowiem być napisany bardzo umiejętnie, frazesy nie mogą zastąpić faktów, jeżeli wogóle ma się nad nim prezydent Mac Kinley zastanowić. Jest to tylko szkic projektu, którym Chicago zająć się powinno, rozpocząć zaraz pracę — cicho, bez rozgłosu i wydać rozkazy na prowincyę, a my bez szemrania posłuchamy«.

Projekt miałby wtedy widoki powodzenia, gdyby Amerykanie widzieli jakiś »business« w poruszeniu sprawy polskiej. Teraz już te nawet pisma, które się naszem zdaniem o wojnie amerykańsko-hiszpańskiej, gorszyły powtarzają za *Zgodą*, że »polityka Stanów Zjednoczonych w sprawie Kuby i wysp Filipińskich niczem się nie różni od polityki Rosyi, Prus i Austryi wobec Polski w XVIII wieku«.

═ Po r. 1831 Anglicy proponowali wychodzcom polskim, żeby osiedlili się gromadnie w Nowej Żelandyi, w której wówczas nie było prawie wcale osadników europejskich. Ma się rozumieć, wśród wychodztwa ówczesnego, żyjącego nadzieją rychłego powrotu do kraju, projekt nie zyskał uznania. Dzisiaj Nowa Zelandya jest już krajem, mającym liczną ludność angielską i dla kolonizacyi polskiej na wielką skalę nie ma tam miejsca. Ale istnieją i tam kolonie polskie, nawet stosunkowo dosyć liczne. Na wyspie północnej w kolonii Stradford mieszka 63 rodzin polskich, w parafii Inglewood (?) 70 rodzin, w Masterton 16. Na wyspie południowej jest koło Hokitika 7, a koło Christchurch 40 rodzin polskich. Wielu Polaków mieszka w rozproszeniu na obu wyspach. Koloniści mają się nia źle, ale skarżą się na brak księży polskich. Dzieci chodzą do szkół angielskich i wynaradawiają się dosyć łatwo. Koloniści pochodzą przeważnie z zaboru pruskiego.

═ Dotychczasowy redaktor *Wolnego Polskiego Słowa* p. St. Kośmiński prosi nas o zamieszczenie następującego oświadczenia:

»Dnia 7 b. m. kategorycznie oświadczyłem p. Reiffowi, wydawcy *Wol. Pol. Słowa* w Paryżu, iż nadal zajmować stanowiska redaktora nie mogę i nie chcę. Pan Reiff mimo to pozwolił sobie nazwisko moje zamieścić na czele numeru, który się ukazał 9-go stycznia z datą dnia 5-go. Dla wiadomości Waszej, Sz. Redaktorze, i czytelników *Wol. Pol. Słowa* podaję to oświadczenie, gdyż nie mogę odpowiadać za treść numeru ostatniego, zredagowanego przez kogoś innego.

St. Kośmiński

Z OBCEGO ŚWIATA.

═ Pisma zagraniczne podają szczegółowe wiadomości o głodzie w Rosyi. Niektóre szczegóły przedostały się nawet do prasy rosyjskiej, której o tej sprawie pisać nie wolno, W świeżo wydanej w Berlinie broszurze rosyjskiej p. t. »Autokracya i prasa« podano długi, bo 30 stronic zajmujący spis taj-

nych okólników, wydanych od roku 1873 do 94 celem okiełznania prasy; na każdej niemal stronicy tego spisu spotykamy zakaz pisania o głodzie. Następstwem głodu są rozruchy chłopskie w wielu miejscowościach Rosyi. Z powodu tych rozruchów minister spraw wewnętrznych rozesłał gubernatorom tajny okólnik, w którym czytamy:

»Przekonaliśmy się, że zgodnie z wiadomościami, podawanemi nam z rozmaitych prowincyi, włościanie buntują się i że zaburzenia przybierają następujące formy: systematycznego pustoszenia dóbr szlacheckich, zapędzania na ziemie wielkich właścicieli bydła przez włościan, uzbrojonych w widły, cepy i t. p., napadania na służbę pańską, pustoszenia pańskich lasów i często wprost zbrojnych napadów.

»Do tych zaburzeń dołączają zapisane w kilku miejsach wypadki zbrojnego oporu władzom, wezwanym do przywrócenia spokoju. Targnięto się na przedstawicieli władzy, a w guberni woroneskiej nieznana osoba strzeliła do pewnego dzierżawcy i komisarza policyi, który przybył celem przywrócenia porządku w starciu, wynikłem z przyczyny zatargu pieniężnego między wspomnianym dzierżawcą a chłopami. Komisarz policyi został zabity. Dowiadujemy się nadto o innych napadach, dokonanych przez chłopów.

»We wszystkich tych wypadkach władze miejscowe nie mogły i nie probowały nawet stawić oporu, obawiając się podrażnienia większej jeszcze liczby włościan, a głównie tych, którzy do zaburzeń nie mięszali się«.

Okólnik zaleca śledzenie osób podejrzanych, należących do inteligencyi, zwłaszcza adwokatów (?) i bezwzględne tłumienie zaburzeń.

= W *Narodnich listach* o stosunkach polsko-rosyjskich pisuje niejaki p. Żychliński, b. powstaniec i sybirak, osobistość licha moralnie i podejrzana politycznie. Znany w Warszawie dziennikarz czeski p. Jarosław Rozwoda, który kilkanaście miesięcy przesiedział w cytadeli, przybywszy do Pragi, zdemaskował wobec Czechów p. Żychlińskiego, nazwał go bowiem publicznie »zdrajcą« i »wrogiem« narodowości polskiej. Sąd pierwszej instancyi skazał p. Rozwodę na kilka tygodni aresztu, nie uwzględnił bowiem podania jego o przeprowadzenie dowodu prawdy. W drugiej instancyi sąd uznał, że p. Rozwoda miał słuszny powód nazwać »zdrajcą« człowieka, który pisuje do *Warszawskiego Dniewnika*, nazwanie zaś »wrogiem Polski« nie jest obrazą, ale krytyką działalności p. Żychlińskiego. Natomiast skazano p. Rozwodę na 50 złr. kary za powiedzenie, że Żychliński pod przymusem tylko poszedł do powstania i że zachowanie się jego na Syberyi było nikczemnem, chociaż fakt ten stwierdza dawniej wydany wyrok sądu lwowskiego w procesie Żychlińskiego z ś. p. Ludwikiem Zielonką.

Moskalofile czescy dokładają wszelkich starań, żeby p. Żychlińskiego rehabilitować, przygotowują podobno dla niego owacyę publiczną i chcą mu wręczyć dar honorowy.

= Z powodu wydaleń Duńczyków ze Szlezwiku kupcy duńscy wycofali zamówienia z fabryk niemieckich. W listach, pisanych do zarządów fabryk, Duńczycy oświadczają, że nic kupować nie będą, dopóki nie ustaną brutalne, urągające sprawiedliwości prześladowania. Wszyscy Duńczycy są w tej sprawie solidarni. Obliczają, że Niemcy stracą wskutek tego około 30 milionów marek rocznie, a może więcej, bo firmy norweskie ogłaszają, że

pójdą za przykładem duńskich. Fakt powyższy dowodzi, że projekt zerwania stosunkow handlowych z Niemcami nie jest pomysłem niewykonalnym, jak zapewniali nasi poważni politycy, chociaż w naszych stosunkach bardzo trudnym do wykonania, bo kupcami są przeważnie Żydzi i Niemcy.

Wszystkie większe firmy handlowe w Berlinie mają niebawem zwołać wielkie zebranie w celu ułożenia petycyi do rządu, w której chcą wykazać rosnące wciąż straty, jakie ponosi handel i przemysł niemiecki skutkiem wydaleń Duńczyków ze Szlezwiku i Holsztynu oraz prosić o odwołanie rozporządzeń banicyjnych. Donoszą o tem dzienniki berlińskie i nie oburzają się na kupców i przemysłowców za brak patryctyzmu niemieckiego. Maleńka Dania zaimponowała potężnym Niemcom stanowczością i solidarnością swych synów.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. S. Kr. w Berl. Zaburzenia w uniwersytecie kijowskim wybuchnęły z powodu zamiaru części studentów uczczenia pamięci Murawiewa. Znaczna większość młodzieży zamiar ten potępiła. Następnie na zebraniu, na którem było kilkuset studentów Rosyan i Polaków uchwalono oddanie hołdu pamięci Mickiewicza, poety wolności.

Nie należy jednak w tem szlachetnem wystąpieniu młodzieży kijowskiej upatrywać jakiegoś nowego stanowczego zwrotu, w usposobieniu młodej inteligencyi rosyjskiej, a tymbardziej zapowiedzi zmiany stosunku społeczeństwa rosyjskiego do polskiego. Pamiętamy czasy kiedy ogół młodzieży rosyjskiej był rewolucyjnie usposobionym, a jednak z tego właśnie pokolenia wyrośli dzisiejsi reakcyoniści. W szczerość wystąpienia młodzieży rosyjskiej i małoruskiej w Kijowie wierzymy, ale nie możemy równie łatwo uwierzyć w trwałość uczuć i przekonań, których było wyrazem. W korespondencyi, opisującej zajścia w uniwersytecie kijowskim jest sporo przesady. Pieśń *Boże caria chrani* niejednokrotnie rozbrzmiewała w murach uniwersytetów rosyjskich, odezwanie się zaś profesorów: »tą pieśnią splugawiono przybytek nauki« świadczy tylko o obłudzie tych panów, którzy sami najlepiej wiedzą, że uniwersytety rosyjskie, zwłaszcza kijowski i warszawski, nigdy przybytkami nauki nie były.

SKŁADKI.

Od pań L. M. i E. F. z Paryża otrzymaliśmy kwotę 25 fr. na szkołę polską w Białej, z następującym dopiskiem:

»Sumę powyższą zebrano na tanie wydawnictwo dla dzieci imienia B. Prusa — na wiadomość jednak o przystąpieniu Prusa do ugodowców postanowili uczestnicy tej składki zmienić jej przeznaczenie i ofiarowują ją Towarzystwu szkoły ludowej na rzecz szkoły bialskiej«.

Od osoby, która nie chce żeby jej nazwisko wymieniono: »Zebrane w Belgii, dnia 26 grudnia 1899 r. na oświatę ludową w Królestwie« 36 fr. 50 c.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Dr. Tadeusz Dwernicki.** — Z drukarni W. Szyjkowskiego.